

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 16 (34)

Jerozolima, 16 sierpnia 1944 r.

Rok II

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

LIBAN-POLSKA

Teraz zjechałem do kraju, w którym najpiękniejsza wiosna: jedne drzewa nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały proszą kwiatem, słońce pyszne — słowem jest to prawdziwie ziemia obiecana.

Juliusz Słowacki (List do matki, Bejrut, 17 lutego 1837 r.).

Są w różnych krajach świata góry. Znane są w dziejach wypadki, gdy łańcuchy skaliste chroniły ludy przed butem najeźdźcy. W zaciśniętych niebiosieźnych szczytów powstała i żyje wolna Szwajcaria — ta ostoja prawdziwych tradycji Europy w sercu wstrząsanego wojną kontynentu. W zawieszonych wysoko klasztorach Bałkanów zachowała się przez wieki przesładowań mowa i wiara narodów, półwysp ten zamieszkujących.

Żadne z pasm górskich nie ma jednak takich tradycji historycznych, co góra Libanu. Mówi o niej Biblia. Wspomina Nowy Testament. Król Hiram z Tyru słał Salomonowi cedry z Libanu dla budowy domu Bożego. Ze świątyni tej od dwóch tysięcy lat pozostały już jedynie smutne gazy Ściany Płaczu. Cedry Libanu rosną i zielenią się wciąż na nowo.

Jest coś odwiecznego i coś zawsze młodego w Libanie, jak odwiecznym i młodym jest cedr, będący jego znamięm.

Legenda chce, iż górą, na której oparła się Arka Noego czasu potopu, był Ararat. W Libanie znajdowali schron rozbitkowie polityczni wszystkich epok i ludów, zamieszkujących kraje Bliskiego Wschodu, kiedy tylko groźne nawałnice pustoszyły ich ziemie.

W trójkącie ziem pomiędzy Egiptem, Persją o morzem Czarnym rodziły się i ginęły cywilizacje. Trzy największe religie mono-teistyczne ludzkości mają tu swe kolebki. Powstawały i upadały imperia. Potem przez wieki kraje Bliskiego Wschodu zdawały się drzemać w piasku pustyni. Aż koło historii znowu je teraz wynosi ku ważniejszemu w dziejach świata przeznaczeniu.

Wysoko w górze Libanu rosną cedry. Jak za Fenicjan, za Salomona, za Aleksandra Wielkiego, za Konstantyna i Heleny, za Omajadów, za Krzyżowców, za Solimana Wspaniałego, za Napoleona.

Tysiące lat historii legło u stóp tej góry. W listopadowy dzień roku 1941 na Place des Canons w Bejrucie stanęło w czworoboku wojsko. Orkiestra gra „Marsyliankę”. Przed sprężonymi oddziałami idzie wolnym krokiem smagły, szczupły człowiek w mundurze francuskiego generała. Generał Georges Catroux, Delegat Wolnej Francji w krajach Lewantu, udaje się do siedziby władz libańskich, by ogłosić w imieniu generała de Gaulle i Komitetu Wolnej Francji niepodległość Libanu.

W sali obrad Starego Seraju panuje ścisła nie do opisania. Generał Catroux, skandując wyrażnie, czyta swą deklarację. Odpowiada mu wzruszonym głosem prezydent Republiki Libańskiej, Alfred Naccache. Trzaskają aparaty fotograficzne. Rodzi się nowe, niepodległe państwo.

Na bankiecie, wydanym przez rząd libański z racji ogłoszenia niepodległości, jestem jedynym Polakiem, jedynym w ogóle cudzoziemcem poza Francuzami i Anglikami. Nastrojony jestem uroczystością w tym dniu uroczystym. Mój sąsiad, jeden z byłych ministrów libańskich, zauważa to widząc, gdyż z miłym uśmiechem wskazuje mi siedzącego naprzeciwko starszego pana i mówi: „On już po raz czwarty jest świadkiem ogłaszania niepodległości Libanu”. Spływa na mnie strumień zimnej wody. Po raz czwarty...

Mój sąsiad, sceptyk, nie miał racji. Tym razem niepodległość Libanu stała się ciałem. Trzeba było jednak jeszcze dalszych dwóch lat, by innego listopada — roku 1943 o tę niepodległość połała się krew. Wydarzenia bejruckie z 11 listopada roku 1943 i dni następnych nie miały w sobie wiele z groźnego obrazu rewolty ulicznej, jaki nosimy w sobie, pomni dziejów europejskich. Kilkunastu zabitych, kilkudziesięciu rannych w całym kraju. Od czasu do czasu gdzieś wybucha bomba, gdzieś zniszczone zostało wojskowe auto. A jednak w tym dniu doszło do nieodwracalnych procesów w dziejach narodu. Pisarze polityczni i socjologowie zgodni są w twierdzeniu, że najważniejszym dla istnienia narodu

jest samo poczucie jego egzystencji. W dniu tym Libańczycy poczuli się narodem. Analogie historyczne i geograficzne są

ulubionym tematem mów i artykułów okolicznościowych. Czyż można w ogóle próbować ustalić jakieś podobieństwa między Polską a

Z chwilą, kiedy numer niniejszy oddajemy pod prasę, siódmy już dzień komunikaty donoszą o walkach, jakie w Warszawie wszczęła przeciwko niemieckim okupantom Polska Armia Krajowa. Podobnie jak w niezapomnianych dniach Września bohaterska obrona Warszawy w beznadziejnej już sytuacji wojennej symbolizowała wolę życia narodu i najcenniejszym z cennych kapitałem krwi pieczętowała nasze w żadnych okolicznościach niezniszczalne prawa moralne, tak i dziś walka, podjęta w stolicy przeciwko wielokrotnie silniejszemu przeciwnikowi, przy tragicznie niedostatecznym wyposażeniu w amunicję i sprzęt wojenny, daje raz jeszcze świadectwo naszej nieugiętej postawy moralnej wobec okupanta i woli wolności całego Narodu. Walką tą, wszczętą po pięciu latach masowego wyniszczania wszystkich sił żywotnych narodu i potwornego terroru, w którym na użytek najprymitywniejszego barbarzyństwa oddano najnowocześniejsze środki współczesnej techniki, Stolica raz jeszcze na świat cały głosi tę prawdę, wypisaną w każdym polskim sercu, że Naród Polski można co prawda podbić, ale że nie ma takiej siły, która by potrafiła go ugiąć i zmusić do uległości.



SZEIK BECHARRA EL-KHOURY
Prezydent Republiki Libańskiej

A la Reine "W Drodze"

Le 26 juillet 1944

Suleman Lekun

W numerze:

S. Weinberg: Między Stambulem a Florencją. — J. Nowak: Polska misja wojskowa w Syrii w r. 1833. — Liban oczyma Feliksa Topolskiego. — X. K. Kantak: Kraj bogów i sekt. — J. W. Hirschberg: Park narodów Śródziemnomorza. — O. Perégrin-Malinowski: Słowacki na Libanie. — L. Rencki: Radio Bejrut — ostatnia mowa Premiera. — W. Rajkowski: Hasbaya — siedziba książąt Szehab. — ww.: Przegląd polityczny.

Libanem? Wszystko wydaje się przemawiać przeciwko takiej próbie: odmienne koleje dziejów, różna liczba mieszkańców, zupełnie inne położenie geograficzne. Czyż ten kraj, skąpany w słońcu południa, może mieć coś wspólnego z Polską, na której równinach słońce jest czasem czymś równie cennym i rzadkim, jak na suchych wyżynach Libanu woda?

Po raz czwarty ogłaszana niepodległość. To brzmi jakoś znajomie. O Polsce mówi się w dyplomatycznych dokumentach współczesnych, że cztery razy była dzielona. Po raz czwarty, jak wiadomo, nie dawno. Niepodległość, walka o nią, — ktoż lepiej od nas wie, co to znaczy!

A i owa tak różna sytuacja geograficzna też coś przypomina: Liban, to kraj leżący na szlaku wędrówek narodów i armii z północy na południe, z południa ku północy. Liban, to kraj, broniący swej niepodległości przed najazdami, to przyczółek mostowy cywilizacji zachodniej w zetknięciu ze Wschodem, to jedno z wysuniętych przedmórz Europy. Przez dolinę Bekaa, przez zbocza Antylibanu idzie jeszcze jedna granica dwóch cywilizacji — tak jak inna daleko na Północy.

Oczywiście, odnalezione analogie wydają się wątpliwe czy powierzchowne. To jest tak i to nie jest tak. A jednak my, Polacy, lepiej rozumiemy dzieje Libanu, niż wielu innych przybyszów z różnych stron świata.

Dwa fakty historyczne zaciążyły szczególnie silnie na dziejach Libanu: istnienie w górzystych jego schroniskach grupy chrześcijan, wywodzących swą przynależność do kościoła Chrystusowego od czasów Apostolskich, a którzy ostali się wszystkim najazdom i zalewom. Poza tym oblicze duchowe narodu libańskiego nosi na sobie wyraźne piętno wpływu wypraw krzyżowych.

Liban położony jest w sercu krainy pierwszych chrześcijan, których osiedla ciągnęły się od Jerozolimy po Antiochię. Poprzez Liban biegły szlaki najdawniejszych wypraw apostolskich. Gdy Islam zalał wszystkie ziemie dookoła, w górze Libanu ostali się potomkowie pierwszych wyznawców Chrystusa. „Liban jest koniecznością historyczną i polityczną” — tłumaczył mi jeden z polityków francuskich. Patrząc na mapę, trudno jest zrozumieć, dlaczego trwałe istnienie Libanu miało być czymś nieodzownym. Kraj mały, gęsto zaludniony, skazany na wwoz najniezbędniejszych produktów rolnych. Nie do pomyslenia wydaje się rozwój gospodarczy Libanu bez głębokiego zaplecza syryjskiego.

Tajemnicą Libanu jest jednak, że jest to kraj o dwóch zapleczach. Jednym, gospodarczym, jest dla niego Syria, która, będąc niemal dwudziestokrotnie większa od Libanu, ma ludność zaledwie dwa i pół raza liczniejszą. Drugim zapleczem kulturalnym jest Europa, do niedawna przede wszystkim Francja.

Liban jest dzisiaj krajem arabskim. Najeźdźcy narzucili swój język nawet tam, gdzie nie mogli wpoić swej wiary. Lecz Liban jest krajem o odmiennej treści kulturalnej od innych państw arabskich. Jest jedynym we wschodniej części morza Śródziemnego państwem, którego ludność stanowią w większości chrześcijanie. Z czasów najdawniejszych, fenickich jeszcze, pozostało Libańczykom zamiłowanie do morza i do zamorskich podróży. Liban ma blisko milion mieszkańców. Drugi milion Libańczyków rozsiany jest po świecie całym: od Indii i Afryki Południowej, po Brazylię, Meksyk i Stany Zjednoczone.

Liban należy do świata kultury śródziemnomorskiej. Widać to dobrze w Bejrucie, który nie różni się wiele od miast południowej Francji, Włoch, Hiszpanii czy Portugalii.

Stare związki, łączące Liban z Europą, uczyniły zeń pomost między Zachodem a Wschodem, a w okresach ścierania się wpływów — wysunięty bastion Europy na Wschodzie.

Mako jest epok w historii, które miałyby w sobie taką siłę i urok legendy, jak lata wypraw krzyżowych. Nie było Ligi Narodów, nie było układów, ustalających, jak ma być tego świata mają swe strefy wpływów zabezpieczać. Europa była całością w wierze i w walce o nią. Wielka idea łączyła ludy od Pirenejów po Wisłę.

Liban usiany jest zamkami krzyżowców, którzy tutaj budowali swe hrabstwa i baronie dla utrwalenia wspólnoty chrześcijańskiej. Da-

maszek nigdy nie był przez krzyżowców zdobyty. Są historycy, którzy uważają pozostawienie starej stolicy Omayjadów w rękach muzułmanów za największy błąd wszystkich wypraw krzyżowych, bo pasmo ładu nad samym morzem było zbyt wąskie dla oparcia się nawrotom wojsk wyznawców Islamu, bo dla długiej drogi z Europy pozostawał krzyżowcom tylko jeden szlak, łatwy do przerwania. Szlak ten szedł przez Liban.

Półtora wieku wpływów krzyżowców w



RIAD BEY SOLH
Prezes Rady Ministrów

Libanie pozostawiło tak trwałe ślady w pamięci ludu, kraj ten zamieszkującego, że nigdy potem Liban nie zapomni o istnieniu Europy. Będzie do niej dążył, będzie jej wzywał i chociaż w Bejrucie i w Damaszku mówi się tym samym językiem — treść mowy jest inna w Libanie, a inna w Syrii, inna w kraju największych wzlotów chrześcijaństwa, a inna w kraju dumnej cytadeli Islamu, gdzie przez dwanaście stuleci nie stanęła nigdy stopa chrześcijańskiego władcy.

Mało wiemy szczegółów o wyprawie księcia Henryka Sandomierskiego, by wraz z innymi rycerzami Europy Ziemię Świętą z rąk niewiernych dobywać. Był to chyba pierwszy wypadek, gdy mowa polska dźwięczała w Libanie. Potem w ciągu ośmiu stuleci nieraz Polacy pojawiać się będą w tej słonecznej krainie i nieraz Libańczycy wędrować będą do odległej Polski.

Papież Eugeniusz IV przyjmował w Rzymie w r. 1441 misję Druzów i maronitów. Los chrześcijan na Wschodzie zajmował wiele myśli Głowy Kościoła. Potęgą turecką groziła Bizancjum. Papież wzywa pomocy najmocniejszego wówczas na wschodzie Europy władcy — Władysława III, króla Polski i Węgier.

Po zwycięskiej wojnie roku 1443 król polski zawiera pokój z Turcją. Lecz papież zachęca go do dalszej walki, rozgrzesza z naruszenia danego słowa. Klęska wyprawy r. 1444, śmierć młodego króla pod Warną przesądza los chrześcijan na Bałkanach, uniemożliwia ratunek Konstantynopola, (który w r. 1453 dostaje się w ręce tureckie), oddala nadzieje chrześcijan Libanu, że oto znowu rycerze, znaczeni krzyżem, staną na ich ziemi.

Ale łączność z Europą nie urywa się. Miasta południowej Francji i bogate republiki miejskie Włoch są swych kupców do portów Libanu. W Bejrucie powstają konsulaty Genui, Wenecji, Montpellier. Przybyszą okręty ładowne towarami z Europy, zabierając w zamian produkty Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Na Cyprze wciąż jeszcze panują Frankowie.

Korzystając z wojen między władcami Europy, Soliman Wspaniały zawiera układ z Franciszkiem I, królem Francji. Turcja zdobywa szereg posiadłości we wschodniej części morza Śródziemnego. Wojska sułtana zalewają Węgry. Na krótko przed tym na dworze króla Polski, Zygmunta Starego, pojawia się Piotr, mnich maronicki, by jako poseł szacha perskiego namawiać go do przeciwtureckiej koalicji.

Z końca wieku XVI pochodzi pierwsza w literaturze polskiej wzmianka o Libanie. Książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, „Sierotką” zwany, w latach 1582—1584 czyni pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Opis jej ukazuje się drukiem po łacinie w r. 1601, po polsku w r. 1607 w Krakowie.

Jan St. Bystron w książce swej p. t. „Polacy w Ziemi Świętej, Syrii i w Egipcie 1147—1914” przynosi następujący opis pobytu Radziwiłła „Sierotki” w Libanie:

„Po pertraktacjach z emirem i koniecznych podarunkach, wyrusza karawana pątników polskich pod eskortą janczarów, kierując się starą drogą przez Liban i Damazek. Pierwszym etapem podróży był Ehden, siedziba patriarchy maronickiego, który podejmuje podróżnych jarami, oliwkami i masłem; stąd zwiedzają ciekawie wędrowcy cedry libańskie, które, już podówczas bardzo rzadkie, uchodziły za osobliwość, „dwadzieścia i cztery drzewa cedrowe, które pilnie chowają ludzkie tamtego miejsca, bo ich zgola więcej tam nigdzie nie masz. Drzewo cudne, rozłożyste, modrzewio-

wi podobne i dosyć wysokie, szyszki na nim podługowate”. Przez śnieżyste szczyty Libanu przechodząc podróżni do doliny, dzielącej pasma górskie, i nocują w polu pod Baalbekiem, gdzie oglądają ogromne ruiny świątyni; zwaliska te nie wywierają jednak większego wrażenia na autorze, który zajmuje się raczej tradycją biblijną o pałacu Salomona i komentuje sławnych podówczas biblistów.

Bystron pisze również o maronitach, przybyszach w wieku XVII i XVIII do Polski:

„W tym to czasie zjawiają się w Polsce maronici, zbierający datki na cele kościołów syryjskich, albo też wprost dla siebie, opowiadając rozmaite wiadomości o stosunkach w Ziemi Świętej, o prześladowaniu tureckim, męczeństwie za wiarę i t. d. W aktach Kapituły Wileńskiej spotykamy pod r. 1746 notatkę, że dano 32 czerwone złote zapomogi księżciu maronitów, Wiktorynowi Messas z Syrii, pozbawionemu za wiarę majątku, żony i dzieci; w r. 1764 znów dano 20 węgierskich złotych Stefanowi Gazenowi¹⁾ księciu Palestyny, z góry Libanu, którego sułtan turecki wyzwał ze wszystkich posiadłości; zbierał on jałmużnę za świadectwem papieża i króla Augusta III na swoje utrzymanie i okup poddanych. Znany pamiętnikarz tych smutnych czasów, kasztelan brzesko-litewski, Marcin Matuszewicz, wspomina pod r. 1759: „przywieziono mi wysokiego księcia maronitów, chrześcijanina, który jałmużnę zbierał po wszystkich europejskich krajach, aby swoją rodzinę, rodziców i rodzeństwo wykupił z aresztu, który nałożył na nich nowy basza kairski, co ordynaryjnie wszyscy nowi baszowie przez łakomstwo i nienawiść do chrześcijan czynią. Wielu wprawdzie jest książąt maronitów zmyślnych, ale ten był prawdziwy, miał albowiem skrypt od księcia Mikołaja Sierotki, jego pradziadowi dany, że gdy tenże książę Radziwiłł peregrynował z nabożeństwa do Jerozolim, tedy był u pradziada tego księcia bardzo dobrze przyjmowany i uczczony. Dał zatem książę Radziwiłł ten skrypt jemu autentyczny, że jeżeliby się kiedy który z tegoż księcia maronitów w Polszcze znajdował, tedy miał być dobrze przyjmowany i pieniędźmi opatrzoną, co też książę Hetman W. Lit. i ks. Chorąży Lit. uznawszy ten skrypt za rzetelny, hojnymi łaskami swymi wypełnili”.

U podłoża stosunków polsko-libańskich w wieku XVII i XVIII tkwiła nie tylko ciekawość podróżnicza, czy chęć dopomożenia prześladowanym za wiarę. Polska graniczyła wówczas z Imperium Otomańskim, którego częścią był Liban. Nie jest rzeczą przypadkową, że wszelkie próby Libanu zręczenia zwierzchnictwa Porty wypadają w tych latach, w których Stambuł zwrócić ma uwagę na północ, szykując wyprawy wojenne na ziemię Rzeczypospolitej.

Fahredyn II, ambitny władca z dynastii Maanidów, wraca z wygnania w r. 1618, gdy sułtan Osman gotuje się do wojny z Polską. Największy rozkwit potęgi Fahredyna to akurat lata Cecory i Chocima. W r. 1621 podróżnik francuski Hayes de Courmemin uważa Fahredyna za „pierwszego i najpotężniejszego ze wszystkich książąt imperium otomańskiego”. A było to właśnie w czasie, gdy daleko na północy wojska hetmana Chodkiewicza odparły pod Chocimem ataki Turków i Tatarów. Klęska wojsk Osmana dała Fahredynowi jeszcze większą swobodę działania. W r. 1623 osiąga on szczyt powodzenia, gromiąc na głowę i biorąc do niewoli paszę Damaszku, Mustafę.

Fahredyn stał się właściwym twórcą idei państwa libańskiego, odnowicielem jego stosunków z Zachodem. Dyplomacja jego opiera się o Francję Richelieu, o Toskanę Medyceuszów, o Neapol, stolicę wicekrólów hiszpańskich. Gdzieś z pyłu archiwów trzeba byłoby odnaleźć nici, które z dworu emira Libanu iść musiały ku Rzeczypospolitej, wojującej z jego suwerenem — sułtanem.

Ponowny okres wojen polsko-tureckich w latach 1671—1683 pozwała następcom Fahredyna na utrzymanie w Libanie pewnej niezawisłości wobec Turków. Zwycięstwo Jana Sobieskiego pod Wiedniem kładzie kres ekspansji tureckiej w Europie. Pokój Karłowicki w r. 1699 jest początkiem ery, w której Turcja jest już „chorym człowiekiem”. W tym to czasie po wygaśnięciu rodu Ma'anidów przejmując władzę w Libanie nowa dynastia Szehabów.

Polska i Turcja nie wojują już ze sobą. Przeciwnie. Zbliża je ku sobie wspólne zagrożenie przez nowe potęgę, wyrosłe w Europie Wschodniej. Tradycja króla Jana III, który na prośbę legata papieskiego pod Wiedniem ratował chrześcijaństwo, jest wciąż żywa wśród górali Libanu. Przypominają ją liczni duchowni sekt chrześcijańskich, tym bardziej że wśród zakonników coraz liczniejszych w Libanie klasztorów katolickich, nieraz spotkać można Polaków, jak np. Ojciec Eulogiusz Barcikowski, bernardyn, który w maju 1792 r. zmarł jako przeor klasztoru w Trypoli.

Lata trzydzieste ubiegłego stulecia, to okres wielkich przemian politycznych na Bliskim Wschodzie. Twórca nowoczesnego państwa egipskiego Mahomet Ali, nie tylko wypędza Turków z Egiptu, lecz rozszerza zasięg swego państwa na Syrię, Palestynę, Liban, a wojska jego idą daleko w głąb Anatolii. W Libanie panuje największy z pośród jego władców, emir Beszir II — Szehab.

¹⁾ Zapewne Khazenowi (przyp. autora).

W tych to właśnie latach Wielka Emigracja Polska, rozproszona po świecie przez klęskę powstania roku 1831, szuka wszędzie, gdzie można, okazji do wzniecenia sprawy polskiej, do walki „za waszą wolność i naszą”.

Na dworze sprzymierzonego z emirem Beszirem Mahometem Alego bawi polska misja wojskowa z generałem Dembińskim na czele. Liczni Polacy przybywają do Bejrutu, który leży na jednym z głównych szlaków emigracji polskiej na Wschodzie.

Liban jest wówczas modny. Tak jak Byron „odkrywa Grecję”, Lamartine „odkrywa Liban”. Poeci, misjonarze, awanturnicy, uczeni tłumnie wędrują ku Libanowi, by opiewać jego piękno, utrwaląc wiarę, znaleźć pole do wyżycia się, czy wreszcie pogłębić wiedzę. Od czasu, gdy Bonaparte w r. 1799 bezskutecznie oblegał Akre, świat uprzytomnił sobie wagę pozycji Libanu, tej wielkiej, górskiej cytadeli na drodze z Zachodu ku Wschodowi. Cała romantyczność i wąskość wojen kolonialnych, mniej lub więcej niepopularnych w metropoliach, wydaje się znajdować ilustrację w dziejach Libanu tej epoki. Interesy odległe, korpusy ekspedycyjne słabe, duże przestrzenie — wszystko to czyni każdy przypadek ważnym wydarzeniem. Kto wie, jakby wyglądały dzieje świata, gdyby Anglicy nie zdążyli na czas wyładować paru dział w St. Jean d'Acre — przed tym, nim Napoleon obległ tę twierdzę, zamykającą drogę lądową do Indii?

Podczas drugiego oblężenia Akry, r. 1840 — tego, które zdecydowało o losie Beszira, artylerią fortecy kierował Polak, płk. Schmidt, oficer powstania listopadowego. Forteca była broniona zbyt słabo. Flota sprzymierzonych ziała ogniem 480 dział. Na twierdzę padło w ciągu trzech godzin przeszło 60 tysięcy pocisków. Władza egipska w Syrii i Libanie kończyła się. Wraz z nią panowanie Beszira II.

W ciągu dziesięciolecia 1830—1840 Polacy w Libanie trudnią się nie tylko sztuką wojenną. Gen. Dembiński opracowuje projekt kanału, który miałby połączyć morze Śródziemne z Oceanem Indyjskim. Kanał ten — w przeciwieństwie do później zrealizowanego projektu kanału Suezkiego — miał przez ziemię syryjską iść ku wielkim rzekom Mezopotamii. Emir Rzewuski swym życiem wśród Beduinów tworzy sobie legendę.

Roku 1837 zjeżdża na Liban Juliusz Słowacki. Poeta bawi tu blisko trzy miesiące. „Nie pojadę do Konstantynopola — pisze w liście do matki — bo mnie to miasto nie wiele interesuje, wolę jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem maronitów”.

W zaciśniętym klasztorze w Betchesbau Słowacki, pisze „Anhellego”.

W listach swych opisuje pobyt w górach i w Bejrucie. Zachwyca się pięknem przyrody. Śniegi gór Libanu „dalekimi — go — napętni wspomnieniami”.

Notuje, że spotyka w Bejrucie Polaków. Jednych „w służbie baszy” (Mahomet Ali), innych, którzy po konie arabskie dla stadnin polskich przybyli, innych jeszcze — podróżników, jak on.

Spowiednikiem Słowackiego w czasie jego pobytu w Libanie był O. Maksymilian Ryłko. Jest to niewątpliwie jedna z naciekawszych postaci polskich w Libanie. Misjonarz jezuitki, który studia swe rozpoczął w Połocku, jedynej zachowanej przez papieża prowincji jezuitkiej w czasie sekularyzacji zakonu — po jego odnowieniu przybywa do Rzymu, by potem lata całe spędzić na pracy misyjnej na Wschodzie. Przebrany po turecku, władając świetnie językami Wschodu, dociera tam, gdzie nigdy nie powstała stopa chrześcijańskiego misjonarza. Działalność jego na czele libańskiej prowincji Towarzystwa Jezusowego jest szczególnie owocna. Kładzie podwaliny pod Kolegium Wschodnie w Bejrucie, przekształcone następnie na Uniwersytet św. Józefa. Zajmuje się również bardzo czynnie zagadnieniami społecznymi i politycznymi.

Po upadkach ruchów rewolucyjnych r. 1848 na ziemiach Imperium Otomańskiego pojawia się nowa fala emigracji polskiej. W ostrej nocy, skierowanej w r. 1849 do sułtana, car Mikołaj I żąda wydania czterech polskich generałów (Bema, Dembińskiego, Wysokiego i Zamoyskiego). Rząd turecki, za poradą mocarstw zachodnich, odrzuca te żądania. Gdy w kilka lat później wybucha wojna Krymska, dwie polskie dywizje walczą przeciw Rosji. Traktat Paryski r. 1856 milczy o ich losie. Rząd carski domaga się, by wysłano ich daleko od granic Rosji.

W r. 1860 krwawa rzeź chrześcijan zwraca uwagę świata na Liban. Autonomię Libanu gwarantuje siedem mocarstw europejskich. Gubernatorzy tureccy Libanu wybierani być mają spośród chrześcijan.

Część rozsznyczonej po Turcji Polaków wysłana zostaje do Libanu. Do r. 1880 w górach tego kraju stacjonowane są oddziały polskiego pułku dragonów sułtańskich, które tu przybyły pod dowództwem płk. Langego.

Przy pałacu w Beit ed Din istnieją dotychczas koszary, zwane „dragoniskimi”. Liczni potomkowie owych polskich żołnierzy zachowują obok, obco w ustach tutejszej ludności brzmiejących, nazwisk mniej lub więcej żywe wspomnienia kraju pochodzenia. Zapomnieli języka, lecz utrzymują tradycje rodzinne i wiarę przodków.

U schyłku stulecia gubernatorem Libanu był Polak, Muhaffez Pasza-Czaykowski.

W Polsce piszą coraz więcej o Wscho-

dzie. Uniwersytet Wileński silnie rozwija studia orientalne. W szczególności wiele uwagi Wschodowi poświęcają Grodecki i Lelewel. Z szeregu ich uczniów pochodzi orientalista Józef Sękowski, studiujący język arabski w maronickim klasztorze w Antura, odwiedzający często „księcia gór” Beszira. Adam Czartoryski prowadzi w swych „złotych teczach” najbogatszą dokumentację polityczną spraw wschodnich w Europie. W Polsce niepodległej Instytut Wschodni mógł



SELIM BEY TAKLA
Minister Spraw Zagranicznych

się poszczycić poważnym dorobkiem naukowym.

Na kilka lat przed wojną w Bejrucie otwarta zostaje polska agencja konsularna. W lecie r. 1939 polska linia lotnicza łączy Bejrut z Warszawą.

Po wybuchu wojny do portu w Bejrucie przybywa złoto polskie w swej drodze na Zachód.

W kwietniu 1940 r. lądują w Libanie pierwsze transporty polskich żołnierzy, zaatakę Brygady Karpackiej.

Od końca r. 1941 — to jest od czasu, gdy Liban znalazł się po stronie Sprzymierzonych — Bejrut staje się jednym z węzłowych punktów polskich dróg na Bliskim Wschodzie.

Na falach radia bejruckiego dwa razy dziennie płynnie mowa polska, polscy malarze wystawiają swe obrazy, polscy muzycy dają koncerty. Polska placówka dyplomatyczna jest podniesiona w stopniu i rozszerzona. Stworzone zostaje Polskie Biuro Prasowe. Na uniwersytetach bejruckich uczą się polscy studenci. Z Bejrutu idą liczne paczki dla jeńców polskich.

W lecie r. 1943 zjeżdża do Libanu Premier i Naczelny Wódz, gen. Władysław Sikorski. Przybywa również min. opieki Społecznej, Stańczyk, i liczni dyplomaci polscy z krajów Bliskiego Wschodu, z ambasadorami Romerem i Sokolnickim na czele.

W Konsulacie Generalnym R. P. gen. Sikorski przewodniczy ostatniej większej konferencji politycznej w swym życiu, ze studia bejruckiego wygłasza swe ostatnie przemówienie radiowe.

Patrząc na piękno gór Libanu, gen. Sikorski projektował, że przyjedzie tu po wojnie na odpoczynek. — Stało się inaczej...

Do wojsk polskich, przybyszających do Libanu na ćwiczenia, często przyjeżdżają gen. Anders i gen. Kopański. W grudniu r. 1943 odwiedził oddziały Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski, który w bazie morskiej Bejrutu dokonał dekoracji oficerów i żołnierzy polskich łodzi podwodnych, a po górskich ćwiczeniach odebrał defiladę Wileńskiej Brygady. Prowadził ją płk. Wincenty Kurek, ten, który poległ pod Monte Cassino.

Libańczycy wiedzą o Polsce i Polakach więcej, niż kiedykolwiek. Znają polskie tradycje walki o wolność. Szukają analogii z własnymi przeżyciami.

Tysiące Polaków, którzy czasu wojny przeszli przez Liban, nauczyły się wiele o jego życiu i dążeniach, przywiązały się do piękna jego przyrody.

Nowe nici sympatii zadzierzgnęły się między Polską a Libanem.

Liban jest krajem legend. To tu u stóp Saninu Wenus spotkała Adonisa. To tu płała, gdy wody Nahr Ibrahim spłynęły jego krwią. Łzy Wenus, padając na ziemię, wykwitły milionem anemonów.

Piękność i młodość wiecznie odbywają w Libanie swe spotkania. Czasem przerywa ich misteria — żal.

Polska i Liban w swej starej tradycji historycznej zachowują wieczną młodość w walce o piękno, o wolność. Gdy boleją w latach klęsk, gdy krwawy żal po utracie niepodległości znaczą przez pokolenia całe smutnym ściegiem rok za rokiem, to gdzieś w głębi rodzą się nowe siły, nowa wiosna.

I tak, jak patrząc na Polskę i Liban widzicież można tyle różnic, wiele tylko komu spodoba się spostrzec, wspólnota stałego dążenia do wolności zbliża nas poprzez morza i góry.

Bohdan Łączkowski

STANISŁAW WEINBERG

MIEDZY STAMBUŁEM A FLORENCJĄ

Kometa nad Bosforem

Pierwszy tysiąc lat Hedżry zbliżał się ku końcowi.

Nad Portą Wspaniałą ciężkie zbierały się chmury.

Późną jesienią 1577 r. nad Złotym Rogiem kometa się ukazała. Lęk wzbudziła w Seraju, zle przeczucia w dywanie, nerwowość i rozruch w szeregach janczarów i sipajów. Wielki mufti i Takiedin, padyszacha nadworny astronom, obliczyli, że to ta sama, co w nieregularnych od wieków ukazując się odstępach, śmierć wróży władcom i upadek królestwom. Ona właśnie pokazała się przed zbrodnią Kaina, przed potopem, przed nastaniem tyranii Nemroda przeciwko Abrahamowi,



FAHREDYN II.

z dzieła Giovanniego Mariti: „Istoria di Faccardino, Grand-Emir dei Drusi” Livorno, 1787

przed narodzinami Mojżesza i klęską faraona, przed Osmana i Alego śmiercią.

Złą i tym razem wróżbę niosła młodej otomańskiej potęgze. Bakcyl rozkładu toczył wielkie cesarstwo, nadgryzał fundamenty władzy, rzucił wrzody anarchii na najdalej leżące prowincje.

W Seraju, za Bramą Szczęśliwości, Murad III, król królów i cieni Boga na ziemi, pławił się w rozpucie i obżarstwie. Wielki wezyr Mohammed Sokolli, Suleimana sułtana powiernik, Selima II żelazny kanclerz, u schyłku lat swoich, nim padnie pchnięty sztyltem przez nastanę niewolnika, bronić się musi przed intrygą dworskiej kamarylli.

Faworyci - szarlatani i kobiety, wśród nich niezwyklej urody wenecka, Saffiye, córka gubernatora Korfu, przez piratów do sułtańskiego haremu porwana, wydzierają sobie wzajemnie władzę nad rozniekczonym mózgiem padyszacha, wygrywają chęciwość i żądze bośniackich, albańskich i węgierskich wezyrów i paszów. Matka i siostra podsuwają Muradowi najpiękniejsze niewolnice, by uwolnić go spod wpływów weneckanki i podać pod swoje. Sułtan ma już 102 dzieci i... epilepsję. Stare kobiety oskarżają Saffiye o czarnoksiężskie praktyki, rzekomą przyczynę choroby; za udział w tej magii kilkadziesiąt hurys runie z Czarnej Wieży w brudne wody Bosforu.

Żądza władzy i złota miota każdym, od najmniejszego agi do wielkiego wezyra. Kaprys sułtański wynosi wczorajszego niewolnika na członka dywanu, buntownika i zdrajcę — na dowódcę dalekich w Europie zagrożonych kresów. Władcy sandżaków i wezyrowie w dywanie wnoszą się i padają z szybkością szalonego tańca. 133 paszów przeszło przez damasceński wilajet w okresie 1516—1697; nieliczni tylko między nimi ponad dwa lata wytrwali. Oszustwo, podstęp i mord stają się zwykłą i codzienną metodą prowadzenia spraw państwowych. Przekupstwo i kradzież nie zatrzymują się przed żadnym progiem. Jeden z paszów chełpi się publicznie, że samego sułtana do swojej żapówki dopuścił. Mnożą się buntury płaconych fałszywym pieniądzem janczarów.

Paszowie prowincji prowadzą własne swe prywatne wojny na odległych granicach imperium. Wypady ich samowolne na Neograd i Szolnok rozlewają po węgierskiej równinie niezliczone janczarskie trupy, drażnią głucho wściekłość cesarza. Michał Cantacuzeno, przez lud szęjtanogim, synem szatana nazwany, łupi Mołdawię i Greków, wznosi i strąca trony biskupie, niepokohamowaną pasją podsyca ponury gniew ciemnego chłopskiego ludu.

Stefan Batory, Sokollego stronnik, przez wielkiego wezyra w zabiegach o tron polski popierany, zwleka z siedmiogrodzką daniną, hardo wzdraga się wydać braci tatarskiego chana, co na polskiej ziemi znaleźli schronienie przed zemstą Porty. Niedługo potem ambasador Zygmunta III, Paweł Uchański, oznajmił w Konstantynopolu, że król jego pamięta długą przyjaźń kraju swego z sułtanem, lecz co do tatarskiego trybutu, to Rzeczpospolita nie ma ani możliwości, ani ochoty go płacić.

Nad Szyrazem wschodzi groźna dla tureckiego panowania gwiazda szacha Abbasa, tym groźniejsza, że każde stulecie Hedżry zaznaczy się przyjściem człowieka, którego imię zapanuje nad nadchodzącą epoką. Próżno szukać imienia tego w państwie Otomanów na przełomie tysiąclecia. Ambasador szacha, Anglik, Anthony Sherley, przebiega dwory Europy, aby pogrążoną w długim śnie Lige książąt arcychrześcijańskich do wojny z Islamem obudzić. Wysyła posłów na Lewant ambita i dumna Florencia, wciąż szukająca przyczółków na upragnionym wybrzeżu Fenicji.

I tu, jak gdzie indziej, szerzy się niepokój. Od klęski pod Lepanto, gdzie chrześcijańskie eskadry rozbiły flotyllę Kapitana Paszy, niebezpieczeństwo czyha na morzu na konwoje tureckie. Nie lepiej jest na lądzie. W 1585 r. koło portu Trypoli druzwijskie bandy, kpiąc z władzy paszy Damaszku, która w Syrii już dawno stała się czechem słowem, napadły karawanę sułtańską, ciągnącą z egipskim trybutem do Konstantynopola.

W zielonych górach Libanu

Dziwny to był kraj Syria w państwie Otomanów.

Górale Hauranu i Libanu od wieków żyli własnym, niepodległym życiem. W swych zielonych, niedostępnych górach opierali się skutecznie niezliczonym obcym najazdom. Bizantyjskim cesarzom niewielkie tylko płacili poddaństwo, zazdrośnie broniąc swych spraw przed obcą interwencją. Oni między wszystkimi narodami Wschodu najdłużej stawili czoła najazdom arabskich szczepów, który zalał Syrię w r. 634.

Nie byli zresztą Arabowie o wiele gorsi od Bizancjum. Przeciwnie, chrześcijanie syryjscy z radością często witali zwycięzców, którzy dawali im większą swobodę, niż wschodnio-rzymscy cesarze, krwawo tłumiący prawdziwe i urojone herezje. Znaczna przewaga inteligencji Syryjczyków, właściwość, którą do dzisiaj wśród narodów arabskich zachowują, otwierała im ogromne możliwości w państwie młodego Islamu. „Jest faktem godnym uwagi, — pisał historyk i filozof, Ibn Khaldun, — że uczeni, którzy wyróżnili się u muzułmanów największymi zdolnościami w naukach, zarówno religijnych jak świeckich, byli w większości cudzoziemcami, i nader rzadkie są przykłady przeciwnie”.

W latach panowania dynastii Omajadów, kiedy Syria stała się prawdziwym ośrodkiem cywilizowanego świata, a Damaszek wyszedł na najwspanialsze szczyty duchowego i materialnego bogactwa, kiedy jednocześnie Europa tonęła w mrokach kulturalnych, wspólnota libańska wzmocniła się i okrzepła. A kiedy Moawia rzucił na Liban swe hordy, maronici spadli nań z gór „z potęgą i hukiem pioruna i zniszczyli wroga na równinie”.

Abasydzi stłumili syryjską wolność, ale ich ciężkie rządy nie wyrwały korzeni poczucia odrębności góralskiego ludu. Okres panowania bagdadzkich kalifów jest długim ciągiem rewolucji i buntów, a siawa Karola Wielkiego, opiekuna syryjskich chrześcijan, któremu Harun al Raszyd wydał klucze miejsc świętych, hartuje wolę walki i wzmaga się wytrwanie. Libańscy górale zaczynają kierować swe oczy na daleki, nieznany za błękitnym morzem Zachód.

Dlatego, gdy pierwsze okręty rycerzy krzyżowych przybiły do fenickiego wybrzeża, wieher wolności powiał po zielonych turniach. Franków, przez których sam Bóg działał, witał Liban jak dalekich braci. Szybko też rycerze z nad Sekwany, Rodanu i Tybru przekształcając się w orientalnych autochtonów. Próżno biada kronikarz krucjaty, Foucher de Chartres, że „kto wczoraj był Frankiem lub Rzymianinem, dzisiaj stał się prawdziwym Galilejczykiem. Mąż z Reims lub Chartres jest dzisiaj już człowiekiem z Antiochii lub Tyru. Zapomnieliśmy o naszych miastach rodzinnych. Nikt by ich dzisiaj już nie poznał. Nikt o nich nie mówi. Jeden ma już tutaj dom i rodzinę, jak każdy tubylec; drugi wziął za żonę nie kobietę ze swego kraju, ale Syryjkę, Ormiankę albo nawet i Saracenkę ochrzczonej. Język ich stał się naszym językiem. Kto tam był biedny, tutaj z łaski Bożej opływał we wszelki dostatek, a kto w Europie wsi jednej nie miał, w Azji nad całym miastem panuje. Po co wracać na Zachód, kiedy Wschód ponad miarę wypełnia wszystkie nasze życzenia?”

Powstaje nowa szlachta tubylcza. Ormianscy i syryjscy baronowie zdobywają duże wpływy i znaczenie u Franków. W r. 1250 Ludwik Święty mówi do delegacji maronitów, witającej go w St. Jean d'Acre: „Jesteśmy przekonani, że naród, który widzimy tutaj pod imieniem Świętego Marouna, jest częścią narodu frankońskiego. Przyjaźń, jaką macie dla nas, ma bowiem tę samą naturę, jak ta, którą my wam niesiemy. Szustnym więc jest, abyście wy i wszyscy maronici cieszyli się u nas tą samą opieką co i inni Frankowie i abyście dopuszczeni byli do wszystkich prac i urzędów, jakie są otwarte dla Franków”. I chociaż rzeczywistość była może nieco mniej różowa, a w słowach króla więcej propagandy niż szczerzego zamiaru, stały się one po dzień dzisiejszy dokumentem narodowej odrębności Libańczyków i duchowego ich zwią-

ku z Zachodem. W ciągu 180 lat współzycia z krzyżowcami wytworzyła się na tym azjatyckim brzegu nowa cywilizacja i nowa kultura, nowe obyczaje i sposób życia, które i teraz jeszcze tak wyraźną granicę wytyczają Libanowi w olbrzymim morzu otaczającego go Wschodu.

Długo też jeszcze po ostatecznym upadku krzyżowców libańscy górale zwracać będą oczy ku morzu, wypatrywać na horyzoncie żagli wielkiej floty, która przyniesie im wyzwolenie od obcego jarzma. Długo jeszcze, na widok zbliżających się od zachodu okrętów, echo nieś będzie po górach i dolinach okrzyk radości: „Frankowie, Frankowie!”

Prace i walki

Historia Libanu — przyznaje nawet współczesny nacjonalistyczny pisarz arabski — daje rzadki na Wschodzie przykład małego narodu, który, okrażony przez potężnych przeciwników, prowadzi przeciw nim walki bohaterskie z niezwykłą wytrzymałością i ciągłością myśli i celu. Składają się nań Maronici i Druzowie, współzyczący w doskonałej przyjaźni i harmonii, wciąż wspólnym łękiem i nienawiścią do obcego okupanta odnawianej i żywionej. O maronitach pisał Cotovicus, autor pierwszego po Syrii „bedekera” z początku XVII stulecia, że to lud „pracowity i inteligentny, jakby urodzony do pracy. Miasta ich, skromnej zazwyczaj budowy, wznoszą się na Libanie dzięki rolnictwu i kwitacemu jedwabników rzemiosłu”. Ich sąsiedzi, Druzowie, to „górale pracowici, wojowniczy, pełni odwagi, strzelcy doskonałi. Uzbrojeni w szable, łuki, strzały i arkebuz, które sami sobie sporządzają, z obfitości żelaza w kraju korzystając. Wszyscy mówią po arabsku. Nad Turków i muzułmanów przekładają chrześcijan. Mieszkając w samym środku imperium Otomanów, umieli obronić niepodległość i uwolnić się od jarzma Turków; suwerenowi i obcym książętom posłuch odmawiają. Wybierają sobie wodzów, których nazywają emirami i którym poddają się zgodnie, żadnej innej nie szanując władzy”. W r. 1516, po podboju Syrii przez Turków Osmanliów, sułtan Selim, spiesząc się na Egipt, wolał uniknąć trudnej wojny z walecznym góralskim narodem, przyjął więc akt hołdu emirów i władzę ich potwierdził, niewielkiej tylko rocznej żądając daniny.

Objawy rozkładu i choroby otomańskiego cesarstwa, którego „straszne cielsko stało się zbyt ogromnym dla głowy”, dodały nowych sił i ożywiły nadzieje mieszkanców wybrzeża i gór. Tylko obalenie władzy sułtanów mogło spełnić długi sen o pełnym wyzwoleniu.

Pięciu emirów druzwijskich panowało na Libanie, gdy do Konstantynopola dotarła wiadomość o napadzie na sułtańską karawanę, wiozącą egipskie złoto. Najmniejszym był między nimi Korkmas, który swój ród — Manidów — podobno jeszcze od wysokich omajadzkich dygnitarzy wywodził. Ojciec jego, Fahredyn, firmanem Selima w swej wadzy nad południowym Libanem zatwierdzony, z czasem zaczął rozluźniać wasalskie węzły, a wreszcie zaprzestał płacenia daniny. Pod pozorem przyjaźni układow gubernator Damaszku, Mustafa Pasza, wywiódł w pole i podstępnie zamordował Fahredyna. Syn przysiągł, że nigdy w życiu nie zbliży się w pokojowym zamiarze do Turka.

Ibrahim Paşa, Illyryjczyk, który kiedyś w Konstantynopolu rekrutów musztrował, a obecnie jako sułtański namiestnik z Egiptu do stolicy wracał, by córkę padyszacha wziąć za żonę, chciał do swych ślubnych darów dołączyć chwałę pogromcy zbuntowanych emirów. I bez chwały dary te nie były skromne. W Egipcie Ibrahim planował rozbiórke piramid, by wydobyc ukryte pod nimi skarby. Przerazony perspektywą zemsty faraonów cieni, piramid nie zburił, a skarby zgromadził w inny, niemniej skuteczny sposób. Kiedy wojska Ibrahima wkroczyły do Syrii, emirowie równie zastraszeni sułtańską potęgą, jak zawistni o znaczenie rosnące Korkmasa, który już wtedy nad St. Jean i Saidą panował, poddali się Turkowi, co ich zresztą nie uratowało, bo Ibrahim niedługo potem ich głowy na spisach przed pałacem sułtana w Konstantynopolu zatknął. Wierny przysiędze, złożonej na grobie ojca, Korkmas zamknął się w górskiej, niedostępnej twierdzy. Dwukrotnie go niec Ibrahima wracał od emira z darami dla „szlachetnego pana z panów, dostojnego kapłana, kuzyna wielkiego sułtana, najgodniejszego pomiędzy godnymi, znakomitego i wspańałego Ibrahima Paszy, któremu oby Bóg dał powodzenie i tryumf w trudnych przedsięwzięciach”, ale z gór Korkmas nie schodził.

Zaczęła się straszliwa rzeź. Illyryjczyk puszczając z dymem miasta i wsie, niszczył i tratował winnice, ogrody i sady do chwili, aż nadeszła z gór wiadomość o śmierci emira. Uspokojony illyryjski kapral wracał okrzyk chwałą do Konstantynopola, gdzie czekał nań diadem wielkiego wezyra i otwarte ramiona Aissy, córki weneckanki i sułtana.

Nie zginęło z Korkmasem imię Manidów. Sitt Nasiba, poetka i wróżka, żona Korkmasa, ukryła swych synów, świętej polecając ich zemście. Schronienie to znaleźli Fahredyn i Younes Manidzi w Kesruanie, w domu maronickich patryjuszów Khazemów, z których jeden miał zostać później pierwszym konsulem Ludwika XIV w Bejrucie. Młody Fahre-

dyn, wychowywany w tajemnicy, uczył się pilnie pod okiem wychowawcy, maronity Cheivana. „Pamiętaj, mój synu, — zachowała się jedna z tych lekcji, — że miłość musi być twą siłą. Potęga wodza pochodzi z miłości maluczkich. Jego tolerancja będzie warunkiem zjednoczenia. Kraj należy do nas wszystkich, maronitów, muzułmanów, Druzów; wszyscy jesteście przywiązani do jednej ziemi, różni, ale zjednoczeni, jak pięć palców jednej dłoni. Ten, kto będzie umiał stać się kochanym przez wszystkich, zdobędzie poparcie całego kraju, czego żaden emir nie zdołał dotychczas dokazać”. Nauki te padały na żyzną glebę.

Sitt Nasiba tymczasem chodzi od wsi do wsi, od domu do domu, przypomina bohaterką walkę i śmierć Korkmasa, przekonuje o potrzebie wodza, montuje sprzysiężenie, które zatacza coraz szersze kręgi. Wreszcie, gdy gniew Porty minął, główne osoby dramatu dawno już nie żyły, a młody emir wyszedł z ukrycia, popularność jego w opinii powszechnej była mocno ustalona i droga do władzy przygotowana. Wiodła ona przez uspienie czujności otomańskich generałów i pokonanie niezliczonych, panujących na Libanie książątek. Pierwsze zwycięstwo nad Psią Rzeką (Nahr el Kalb) w r. 1598 nad Jussufem Saifa, władcą Trypoli, daje druzwijskiemu emirowi Bejrut i córkę pokonanego. Bogate dary zapewniają przychylną Dywanu, uwikłanego w nieszcześliwe wojny z Persją i Węgrami. Pozostawiony w spokoju przez Portę, Fahredyn umacnia swą władzę, rozszerza posiadłość, organizuje armię i siły policyjne, zaprowadza bezpieczeństwo w kraju, niszcząc grasujące po Libanie bandy.

Myśl o całkowitym uniezależnieniu kraju nurtuje w mózgu emira, staje się motorem wszystkich jego poczynań. Wie, że mały Liban, jeśli już nawet zdobędzie, nie zdoła jej nigdy własnymi siłami na długo utrzymać wobec przeważającej i zamykającej go od wszystkich stron potęgi tureckiej. Myśl jego wybiega daleko, ku Zachodowi, skąd wciąż jeszcze ludowa baśń wyczekuje powrotu krzyżowych okrętów. Sojusz z Zachodem przeciw Turkom jest już naczelną zasadą jego ideologii politycznej. Tylko nowa krucjata zachodnich książąt rozbić może państwo Otomanów i przywrócić libańską wolność.

Ambasador Medyceuszów

Kupcy florency, osiedli w Saidzie, opowiadają Fahredynowi o wspaniałości domu Medyceuszów, którego przepychy przyćmiewa blask sułtańskich pałaców, o bogactwie wielkich miast z marmuru i złota, o ruchliwych portach, do których zawijają okręty z najdalszych zakątków świata. Z opowiadań tych powstaje w umyśle emira wizja dalekiego piękna i potęgi, w której szukać chce rękąmi urzeczywistnienia swych snów.

Wielkie księstwo Toskany znajduje się u szczytu bogactwa i władzy. Wszędzie, w Portugalii, Macao, nawet w Chinach, wystają kantory florenckich książąt, bankierów Europy. Ich nowy port w Livorno rywalizuje ze starą Wenecją, rozkwita talentami i pracą angielskich katolików i portugalskich Żydów, którzy, wypędzeni z własnych krajów, tutaj znajdują gościnne przyjęcie i wolność. Kawalerowie Świętego Stefana atakują królestwo korsarzy na wybrzeżu berberyjskim, zbawiają dusze i napełniają kasy, polując na otomańskie konwoje po wodach greckiego archipelagu.

Tylko syryjskie brzegi niedostępne są dla okrętów książąt, których siostra zasiada na francuskim tronie. Wyłączny przywilej handlu z sułtańskimi krajami należy do Wenecji, od której tokańskich władców dzieli już więcej niż sto lat trwająca vendetta. Dwa razy próby przerwania tej blokady zawiodły, przynosząc poniżenie florentyńczykom; ale tym poządlwiej czekają Medyceusze okazji zaczepienia się o upragniony brzeg Lewantu.

W 1607 r., Kurd czy Druz, Ali Dżunbulat, podnosi rokosz wojowniczych plemion na południe od gór Tauru. Z pomocą wojsk śmiertelnego wroga Porty, perskiego szacha Abbasa, zdobywa Aleppo, prowadzi tajną korespondencję z dworem florenckim. Fahredyn zawiera z kondotierem sojusz i razem ruszają przeciwko władzy Trypoli. Te wydarzenia przyspieszają przybycie pierwszej misji florenckiej. Zadaniem kawalera Hipolita de Lioncini jest przekonać maronitów o szkodliwej się w Europie wojnie o wyzwolenie miejsc świętych, Kurdów i Druzów — o pomocy Medyceuszów w ich walce o uniezależnienie się od Konstantynopola. W marcu tegoż roku 1607 Lioncini doręcza Fahredynowi pierwszy list Ferdynanda I. Wielki książę Toskany zapewnia emira, że „zawsze pragnął i cenił, a obecnie pragnie i ceni więcej niż kiedykolwiek jego przyjaźni i szlachetne zalety”. W październiku Lioncini zawiera z Kurdem układy wojskowe; Fahredyn jest ostrożniejszy. Z kurdyjskim traktatem w kieszeni Lioncini wraca do Florencji.

Tymczasem Porta się budzi. Straszny Murad Pasza wyrusza ze Skutari na uśmierzenie powstania. Już pierwsza wieść o nadciągających tureckich siłach rzuca na Aleppo popioch. Wojna nie będzie długa, ani trudna. W pierwszej bitwie Kurd traci połowę swych sił, 20.000 żołnierzy. Kiedy Dżunbulat w łańcuchach idzie do Konstantynopola, Fahre-

dyn zręcznie wykręca się ze spółki i za 300.000 złotych piastrow kupuje łaskę wezyra. Przepadły śmiały plany.

A jednak.

Po powrocie Lionciniego do Florencji Ferdynand I otrzymuje przyrzeczenie hiszpańskiej pomocy w krucjacie. Papież udziela projektowi poparcia, Francja jest mu prawie że przychylna. Liga książąt chrześcijańskich nabiera rumieńców życia. Na Cyprze, w drodze powrotnej na Wschód, Lioncini dowiaduje się o klęsce Kurda. Nie ma już czego szukać w Aleppo; okręt bierze kurs na Saide. Wizyta florenckiego agenta głaszcze dumę i próżność Fahredyna; w oczach florentynczyka czyta o swej sławie na dalekich ładach. W długiej rozmowie, przy której obecni są konsulowie Francji i Anglii, Lioncini rozstraca przed druzyjskim emirem plany świętej wojny z Turkami: „Najgorętszym pragnieniem wielkiego księcia Toskany jest ujrzyć Waszą Wysokość koronowanym królem Syrii po upadku imperium Otomanów“. Papież Paweł V, Borghese, który kocha sławę, zezwolił już książętom chrześcijańskim na udzielenie pomocy zbrojnej niewiernemu przeciwko „hostos communes, saevissimos Turcos“. W układzie, który niebawem będzie podpisany, Fahredyn przezornie zastrzega sobie schronienie na florenckim dworze. Różne mogą być losy wojny.

Narazie jest ona jeszcze dość odległa. Danina i dary idą dalej regularnie do Konstantynopola, gdzie panuje coraz większe rozprężenie. Na fenickich brzegach trwa gorączkowa, wytężona praca. Ogarnięty pasją budownictwa Fahredyn zakłada porty, rozbudowuje miasta, kopie kanały, wznosi faktorie dla kupców, którzy coraz częściej i coraz chętniej odwiedzają Bejrut i Saide. Grecy, Żydzi i Maurowie osiadają w ruchliwych portach, gdzie nikt nie krępuje ich wolności sumienia i swobody praktyk religijnych. Korespondencja z dworem florenckim staje się coraz żywsza. Następcą Ferdynanda I, Kozma II, kontynuuje politykę ojca — walka z Portą i kantory na Lewancie. Raz po raz przybywają z Florencji posłańcy. Jesienią 1609 r. zjawia się w Saidzie tajemniczy książę Jehija, rzekomo starszy brat sułtana, przez matkę, Greczynkę z Paleologów, potajemnie ochrzczony, który teraz występuje, jako pretendent do tronu Osmanliów. Sprawa jest bardzo ciemna, ale pobudza fantazję, choć nie wzbudza zaufania.

Come Re trionfante

Tym razem Porta jest już zaniepokojona poważnie. Murad Pasza, stary protektor Fahredyna, nie żyje. Paszalik damasceński obejmuje nowy gubernator, Hafiz, zdolny, energiczny, bezwzględny. Szybko pojmuje wagę położenia. Florencja jest daleko. Sprawa wymaga szybkiej decyzji i działania, zło trzeba stłumić w zarodku. Wkrótce armie sułtańskie postępują od Damaszku w stronę morza. Do brzegów Libanu zbliża się armada 60 galer Kapitana Paszy. Fahredyn, osaczony od morza i lądu, rozumie beznadziejność walki zbrojnej. Może się ona skończyć jedynie zupełnym zniszczeniem kraju; Hafiz nie będzie lepszy od Ibrahima Paszy. Emir wyciąga stypulację układu z Lioncinem, przypomina prawo azylu. 15 września 1613 r. trzy okręty wypływają potajemnie z Saidy. Przed odjazdem emira wojsko otrzymuje żołąd na trzy lata.

W listopadzie Fahredyn przybywa do Livorno. Zaczyna się teraz wielka gra, w której wytyczyć trzeba wszystkie zdolności, całą przebiegłość, całą umiejętność przekonywania i dar zdobywania ludzi. Już urzędnikom kwarrantanny — wielki strach panował w owe lata w Europie przed morowym powietrzem ze Wschodu — oznajmia, że przybył nie jako polityczny emigrant, ale emir Libanu, druzyjski książę i potomek Gotfryda de Bouillon, walczący z Portą Otomańską. Głośno się dziwi, że gdy stanął na redzie, nie witała go salwa armatnia, przysługująca panującym. Sekretarz wielkiego księcia przyrzeka jednak wspaniałe przyjęcie we Florencji, a sam Kozma II, nieco przerażony, że uraził tak możnego (jak się okazuje) gościa, wysyła pospiesznie do Livorno admirała Jacopo Inghirami, który pod Lepanto odniósł kiedyś świetne zwycięstwo nad turecką flotą.

Na dworze medycejskim Fahredyn rozciąga wszystkie swe talenty. Zdobywa przychylność Wielkiej Księżnej, przyjaźni Henryka Gwizjusza i wielu innych osobistości ówczesnej Europy, bywających często w stolicy nad Arno. Tłumaczy korzyści wyprawy na Turcję, barwnie i nie bez wschodniej przesady maluje swą władzę i skarby w Libanie; przywiezione jedwabie i złoto dają im świadectwo. Nieustannie podkreśla swą opiekę i miłość dla syryjskich chrześcijan, Kozmie II — prawie jak Zagłoba Niderlandy — tron jerozolimski ofiaruje. Niedługo, a sam jest już głęboko przekonany, że w prostej linii pochodzi od Gotfryda de Bouillon, a Druzowie to potomstwo kawalerów de Dreux, którzy w Syrii za czasów wypraw krzyżowych osiedli. Długo jeszcze trwać miała ta legenda o pochodzeniu Druzów. Kozmę porwają piękne obrazy, jakie przed nim rozciąga gość ze Wschodu. Misja florenckich ekspertów, wysłanych pod przebraniem kupców i pielgrzymów dla sprawdzenia prawdziwego stanu rzeczy, przywozi z Syrii pełne potwierdzenie opowiadań emira. Toskańskie ogarnia gorączka przygotowań do wielkiej wojny: pędzą z Florencji kurierzy do Rzymu, Paryża i Madrytu. Coraz głośniej mówi się w Europie o nadchodzącej wojnie ze Wschodem. W Konstantynopolu lęk się budzi, kiedy druzyjski

emir na czele chrześcijańskiej flotyli pojawi się przed Złotym Rogiem.

Przygotowania przewlekają się jednak. Już dwa lata siedzi Fahredyn we Florencji, a do krucjaty wciąż jeszcze daleko. Powoli pierwszy zapal wygasa, zaczynają się piętrzyć coraz nowe trudności. Francja, mimo zabiegów Marii Medici, ani myśli o konflikcie z Turcją, jedynym naturalnym sojusznikiem przeciwko niemieckiemu cesarzowi. Filip III, w Eskurialu od spraw świata zupełnie odcięty, wśród mnisich śpiewów już tylko o zbawieniu duszy przez modlitwę myśli. Papież, widząc rozbicie włoskich książąt, ostrożnie przestrzega, że zima nadchodzi, więc bić się teraz na morzu nie można, ale „jeśli zajdzie na wiosnę potrzeba, Ojciec Święty będzie czuwał nad dobrem chrześcijaństwa“. Wreszcie egzotyczny gość, przy tym dość kosztowny, staje się na codzień nieco uciążliwy.

Nagle libański emir spostrzega, że jest tylko politycznym emigrantem. Dwa okręty i 500 żołnierza, które Kozma mu ostatecznie obiecał, to może akurat dosyć na wyprawę korsarską, ale stanowczo za mało, by prowadzić nimi wojnę z Turkami. Próby dostania się na inne dwory Europy nie dają wyniku. Starania o przyjazd do Paryża zawodzą. Z wyrzutem pisze do ambasadora francuskiego w Rzymie, że przecież Medyceusze przyjęli go, „non come povero fuggitivo privato, me come prospero principe, et come Re trionfante“.

Powoli też i pieniądze zaczynają się wyczerpywać emirowi, który sprowadził z sobą żonę, córkę i 50 osób służby. Odmienność obyczaju sprawia nie mało kłopotu i gospodarzom i gościom. Dom emira, którego okna zamurowano, by ostrzec kobiety przed nieskromnymi spojrzami przechodniów, wywołuje powszechnie zainteresowanie i podniecenie. Tyśiące plotek krąży po Florencji o piękności zamkniętych w nim mieszkank. Straszliwa zaś awantura wybucha, gdy florencka gawiedź przez wybitą w murze szparę damy druzyjskie w kąpiel podgląda, bo — jak rozsądnie podkreśla raport dyrektora policji — „le cose vietate sono sempre desiderate“.

Szczęśliwym więc dla obu stron wyjściem było zaproszenie Fahredyna do Messyny przez księcia Orsony, wicekróla Neapolu i Sycylii, który snuł plany pobicia weneccjan na Adriatyku, a tureckich galer na morzu Śródziemnym. W zaproszeniu tym Medyceusze widzieli dla siebie dwie korzyści: konkretną oszczędność z wyjazdu gościa i — może w przyszłości — nadzieję na naklonienie Hiszpanii do projektu krucjaty przeciw Turkom. Dość że emir opuścił Florencję i Livorno w takim momencie, kiedy jego przyjaźń z gospodarzami była jeszcze mocna, a ukazujące się na niej drobne skazy dały się jeszcze wygładzić łatwo przez wzajemne podarunki.

Powrót Ulissesa

Tymczasem, podczas pobytu u hiszpańskiego wicekróla, kolejno w Messynie, Palermo i Neapolu, zaczęły nadchodzić z Syrii interesujące informacje. W Konstantynopolu panuje kompletne zamieszanie. Armia jest niepewna, Dywan pożarty. Po Mustafie — idiocie — niepewny tron sułtański wzięł Osman II, władca nieudolny i słaby, który teraz wojska swoje gromadzi przeciwko Polsce; więc za tanią cenę dałoby się coś od niego na południu wytargować. Krwawy wielki wezyr Nassuh Pasza umarł, otruty przez sułtana. Wróg Fahredyna, Hafiz, usunięty został niedawno z Damaszku, a on sam, dzięki wytrwałym zabiegom i czujności matki, w prawach emira Libanu zatwierdzony nowym firmanem sułtańskim.

Powrót do kraju był dla Fahredyna prawdziwym tryumfem. Pięć lat nieobecności nie umniejszyło jego autorytetu ani popularności. Tym razem cały naród jednoczy się u jego boku. Znowu więc skupia stronników, organizuje na nowo armię, zwycięża sąsiadów i niszczy tych, którzy go kiedyś zdradzili. Tym razem jednak działa ostrożniej i chytrze. Jego agenci, prawdziwa piąta kolumna, urabiają u damasceńskiego paszy opinię przeciwko tym, z którymi walczy; przed wymarszem na Trypoli Fahredyn organizuje istną kampanię „greuel-propagandy“ przeciwko władcy miasta, oskarżając go o napadanie podróżnych, ucisk i prześladowania maronitów, wyzysk i oszustwo poddanych i przyjezdnych kupców. Tym razem chce bić swoich przeciwników, ale bić z rozkazu Porty. W Dywanie aż miłaskają z zadowolenia, gdy znowu zaczynają regularnie nadchodzić od tak dawna już niewidziane dary i lenne opłaty. Władza i wpływy emira rosną teraz szybko. Zwycięstwo następuje po zwycięstwie. Teraz Porta sama nadaje mu ziemie pokonanych przeciwników.

Wraz z sukcesami politycznymi i wojennymi następuje teraz szybki rozkwit kraju. Zapatrzoncy we florenckie wzory, Fahredyn rozbudowuje porty i miasta, wznosi marmurowe pałace, podnosi kulturę rolną, zakłada winnice i ogrody. W Bejrucie i Saidzie buduje słynne „khany“ dla coraz liczniej napływających z Europy kupców. Gościnność emira — pisze konsul wenecki — ściąga francuskich i flamandzkich żeglarzy. Osłania kupców przed korsarzami, ciągnąc wielkie pożytki z ich obecności w swych portach. „Bejrut staje się miejscem spotkania wszystkich śródziemnomorskich narodów. Na pokładach galer i żaglowców, stojących na kotwicy za zamykającym port łańcuchem, pod wielką, zbudowaną przez Franków a teraz odrestaurowaną wieżą, na długich przystaniach krzyżowców, w wąskich i krętych uliczkach bazarów widzi się nieopisaną mieszaninę turbanów, kołpaków, jedwabnych keffii, opalonych torsów, wielo-

barwnych burnusów, drogocennych futer, damasceńskich strzelb i karabelli. Bogaci kupcy i tragarze, panowie i opryszk, murzyni i dworzanie, handlarze niewolników i wschodnich korzeni pośredniczą tutaj między muzułmańską Azją i chrześcijańską Europą, gotowi wszystko kupić i wszystko sprzedać. Wszystkie języki Morza Śródziemnego, wszystkie rasy, od nubijskiego murzyna do bladego Gruzina z Kaukazu, od natarczywego Greka do milczącego beduina, od uniżonego Żyda do wyniosłego Hiszpana, całe potomstwo Ulissea i Pigmaliona, wszystka szumowina i wszystek kwiały rywalizujących cywilizacji ściąga w ten kąt fenickiego wybrzeża, party siłą większą nad różnice religii i rasy“. (O. Lamens).

Liban coraz bardziej przypomina księstwo włoskiego Odrodzenia niż paszalik Porty Wspaniałej. Wraz z kupcami przybywają z Toskany architekci i lekarze, cieśle i alchemicy. Z pałacu Fahredyna w Deir el Kamar idzie na kraj reforma obyczajów. Wspaniałości przyjąć nie mierzy się już jak dawniej tylko ilością zarzniętych baranów. Pobyt emira we Włoszech „a grandement adouci ses moeurs et son esprit“, konstantuje ambasador Francji. Cudzoziemcy podziwiają rozmach, z jakim stawia nowe pałace i twierdze, mniej tylko zdradzają zachwyty dla własnych jego architektonicznych projektów, które są „senza alcuno disegno“.

Wielka dyplomacja

Ale idea naczelna, sen wyzwolenia swego narodu, nie opuszcza Fahredyna ani na chwilę w tych latach wytężonej, pozytywnej pracy. Umacnia się i zacieśnia przyjaźń z Florencją, gdzie dwie regentki, pobożna Krystyna Lotaryńska i Magdalena Austriacka, sprawują rządy w imieniu małoletniego Ferdynanda II. Agent dworu toskańskiego, baron de la Legre, pośredniczy w serdecznej korespondencji i wymianie podarunków. Libańskie jedwabie urzekają austriacką arcyksiężnę. „Non si puo vedere ne la piu belle, ne la migliore“ — dziękuje zachwycona. Kiedy nowy ambasador Ludwika XIII przybywa w r. 1621 do Konstantynopola, Fahredyn jest jednym z najpotężniejszych książąt w całym imperium Otomanów. Szczęśliwy książę zaciekawia tajemniczego Ojca Józefa, szarą eminencję Richelieu i Mazariniego. Nim zacznie się uwijać między Ratyżboną, Osnabrückiem i Monastirem by montować westfalskie traktaty, potężny kapucyn marzy o nowej krucjacie dla potęgi Francji i Kościoła. Inaczej niż kiedyś, krucjata ta dokonać się ma na drodze pokojowej; rycerzami jej będą zakony i misje.

Ambasador francuski, Hayes de Cournemin, odbywa w charakterze nieoficjalnym podróż do miejsc świętych. Francja lęka się zwycięskiego, co mogłoby urazić Portę, naturalną sojuszniczkę w konkerce europejskim, bezskutecznie — niestety — dążąc do stworzenia na wschodzie sojuszniczej ententy Szwecja — Polska — Turcja. Podróż ambasadora jest bardziej wywiadem niż pielgrzymką. W St. Jean d'Acre, Nazarecie i Tyrze zwiedza chrześcijańskie kaplice, założone przez druzyjskiego emira, wszędzie po drodze słyszy o opiece, jaką otacza misjonarzy, tolerancji i bezpieczeństwa. W drodze powrotnej zawadza o Saide. Na wspaniałym przyjęciu Fahredyn przedstawia swe plany przedstawicielowi Francji, której sojusz z Turcją trwa już od r. 1535.

Raport, jaki dyplomata wysyła po tej rozmowie do Paryża, jest świadectwem siły libańskiego księcia. „Pierwszym i najznaczniejszym z wszystkich wasali sułtana jest emir Fahredyn, co znaczy książę, natchniony przez wiarę. Posiada całą górną Galileę i dużą część dolnej Fenicji, gdzie są miasta Barut, Seida, Sur i Sainet Jean Dacre, które leżą na brzegu morza. W taki sposób ze wschodu na zachód włada całym krajem, który się znajduje między Morzem Śródziemnym i Tyberiadzkim, które jest o 12 godzin drogi; od południa do północy ziemie jego ciągną się na długość 30 mil na brzegu morza. Może mieć 900.000 liwrow dochodu, z których 340.000 wysyła sułtanowi, a przez to spełniać może wszelkie czynności władzy, oprócz jednej, że sułtan wysyła do miast swoich kadich, aby czynili sprawiedliwość.“

„Ten książę czyni taką rzecz, przez którą jest bardzo potężnym: werbuje w każdej wsi wszystkich zdolnych do noszenia broni i, dając im parę przywilejów, zobowiązuje ich do służby dla siebie, kiedy jej będzie potrzebował. W ten sposób emir wystawia może za 8 dni 10.000 wojska. Ma też 800 myśliwców, nazwanych semeni, którzy rozproszeni są wzdłuż granic. Ale co robi go jeszcze ważniejszym, to że ma w swoim kraju dwie góry, które są trudno dostępne, a dojścia do nich tak ufortyfikował, że może się na nie bezpiecznie wycofać, a sułtan nie może się na jego kraj odważyć.“

Szczyt i upadek

Wśród tych tryumfów i umacniania ciągłego potęgi, Fahredyn nadal złotem usypia czujność Konstantynopola. Kiedy po powrocie z krwawej wyprawy polskiej Osman II, by powstrzymać bunt w armii, myśli o wyprawie na Syrię, emir znajduje gorliwych obrońców w Dywanie. Zbuntowani janczary mordują na ulicach stolicy sułtana, a z wzięcia wraca na tron obalony przedtem kretyn — Mustafa. Fahredyn znowu spokojniej odycha, chociaż jego wzrok wciąż niespokojnie śledzi oś Konstantynopol-Damaszek, linię,

dzielącą groźny i wrogi Wschód od libańskich kresów Europy. Pasza damasceński, gwałcąc firmary sułtana, zaczyna wojnę z Fahredynem; wyprawa kończy się klęską Turka w bitwie pod Aindżarem. Mimo mniej zazwyczaj delikatnych praw ówczesnej wojny, emir z honorami wojskowymi odsyła pokonanego do Damaszku. Gest ten wywołuje kompletne już osłupienie w Dywanie. Za pobicie własnego generała Porta nadaje Fahredynowi sandżak Trypoli i tytuł sułtana kontynentu.

Spełnił się najserdeczniejszy sen życia. Fahredyn II jest pierwszym księciem cesarstwa Otomanów. Należy doń władza od granic Egiptu po Aleppo. Jedność Libanu jest faktem dokonany.

Teraz trzeba jeszcze strząsnąć zewnętrzne, formalne pozory poddaństwa. W marcu 1630 r. proponuje wielkiej księżnie Toskany otwarcie konsulatu w Saidzie „per poter con piu di facilità rispondere alla sua corrispondenza d'animo“. Jest to już otwarty bunt przeciwko Porcie. W październiku, pięć okrętów, ostrożnie — pod banderą burbońskich lili, z ładunkiem broni, prochu i konsulem florenckim, kawalerem Verrazzano, przyjeżdża do Saidy. Mimo protestów francuskiego konsula, emir po królewsku przyjmuje wysłannika Medyceusów na tle majestatycznych propyleów Baalbeku.

Szczyt władzy stanie się jednak niedługo początkiem upadku. Sułtan Murad IV, władca silny i twardy, jakiego dawno nie widział już tron otomański, po zwycięskiej kampanii przeciwko Persom postanawia skończyć z dumnym emirem, któremu teraz zostaje już chyba tylko po turban sułtański sięgnąć. Burza nadciąga. Nieszczęśliwa bitwa pod Wadittaim otwiera Turkom drogę do gór Libanu. Położenie staje się groźne. Siły emira mogą być cennym oparciem dla działań obcych armii, ale same są pyłkiem w porównaniu z turecką potęgą. Fahredyn ogłasza ostatni rozpaczliwy apel do książąt chrześcijańskich. Naprawdę agent jego w Rzymie usiłuje zagodzić kłótnie i rywalizacje Medyceusów i Barberinich, ofiarując tron jerozolimski Ferdynandowi II, a cypryjską koronę Lusignanów Taddéo Barberiniemu, krewniakowi Urbana VIII. Naprawdę gotów jest teraz przyjąć chrzest wraz z całym narodem druzyjskim, oddać Włochom swe porty, aprocizację i wojско. Europa krwawi w wojnie trzydziestoletniej, mór wybucha w Toskanie. Handel cichnie, wydłubają się porty Bejrutu i Saidy.

Wzięty między dwa ognie, od lądu i morza, uchodzi w góry. Opór nie trwa długo. Zdrada służącego wydaje emira w ręce nieprzyjaciela. Odesłany w łańcuchach do Damaszku, potem do Konstantynopola, mógł jeszcze uniknąć śmierci. Przecież pierwszy jego sojusznik, Kurd Ali Dżunbulat, otrzymał od samej Porty po swej klęsce sandżak na Bałkanach. Przypadek, lokalny sukces odniesiony nad Turkami przez bratanka emira, zadecydował o jego ścieżce. Głowa Fahredyna zawisała w r. 1635 na wieszni przed bramą Wielkiego Seraju.

*

Władza Fahredyna upadła, ale pamięć jej scementowała jedność ludu, zamieszkującego libańskie góry. Idea jego, podjęta w dwieście lat później przez innego emira, Beszira II, przenika po dzień dzisiejszy życie tego narodu. Można by powiedzieć, że to ona stała się duchową kolebką, tworząc jego mistyczny jakby związek z Europą, blokiem kultury i cywilizacji śródziemnomorskiej. Związek ten widzi się i wyczuwa dzisiaj wszędzie w maleńkim Libanie. Na ulicy i w domu, w staranności ubioru i sposobie bycia, w architekturze budowli i urządzeniu wnętrza mieszkalnych. Wytworza on wyraźną odrębność, odmienny styl i klimat życia, kontrastujący tak barwnie z wielkim monolitem krajów kultury Wschodu.

Dzisiaj młoda niepodległość Libanu szuka swych sił i dróg w tradycjach odległej historii, broni się przed rozpłynięciem w otaczającym ją morzu, wytycza wzrok ku Zachodowi, poza błękitny horyzont, by na widok upragnionych żagli krzyknąć po górach „Frankowie, Frankowie!“

Stanisław Weinberg

NOWOŚĆ !

Nakładem Wydawnictwa „W D R O D Z E“
ukazał się tom pierwszy

POWIEŚCI HISTORYCZNEJ

TEODORA PARNICKIEGO

SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

TOM DRUGI W DRUKU

JOZEF NOWAK

Polska misja wojskowa w Syrii w r. 1833

W maju roku 1833 eskadry rosyjskie stały na wodach Bosforu, a wojska cara Mikołaja I biwakowały w okolicach Stambułu. Po drugiej stronie Cieśniny krążyły po wodach tureckich eskadry francuskie i angielskie. Na 20 lat przed Wojną Krymską wisiło już w powietrzu starcie na Bliskim Wschodzie między Rosją, Francją i Anglią. Imperium Otomańskie nie liczyło się jako mocarstwo, osłabione bowiem permanentnym kryzysem wewnętrznym i powstaniami na Bałkanach, pozbawione siły morskiej przez Anglię i Francję, a rozbite na lądzie przez Rosjan, bezwolnie oddawało swe losy w ręce cara, byle tylko ocalić się przed nową inwazją — inwazją arabską pod wodzą Mehmeta Alego i jego syna, Ibrahima Paszy, którzy zjednoczywszy w swych rękach Egipt, Hedżas, Jemen, Palestynę, Syrię, Liban i Cylicję, stali już u wrót morza Czarnego. Dyplomacja europejska zniechęcała sobie zarówno Turcję jak i Egipt, a osmieszała Rosję. Natomiast polscy politycy emigracyjni, dla których konflikt wschodni owierał takie perspektywy, jak 20 lat później, szukali zaczepienia w Egipcie, usiłując popchnąć Mehmeta Alego do walki o dziedzictwo Kalifatu i odrodzenie potęgi Islamu. Już wiosną 1833 roku wyjechała do Egiptu misja demokratycznego Komitetu gen. Dwernickiego w osobach ppłk. Augusta Szulca, majora Beniowskiego i kpt. Ludwika Orlickiego celem wysondowania gruntu. Istotne jednak znaczenie miała wysłana przez ks. Czartoryskiego misja gen. Henryka Dembińskiego. Mehmet Ali, licząc się z możliwością wojny, przyjął go chętnie i powierzył mu misję reorganizacji armii egipskiej, wobec jednak zwycięstwa kierunku ugodowego dyplomacji angielskiej i francuskiej, misja polska poniosła fiasco. Dembiński opuścił Egipt z początkiem roku 1834.

Polskie plany odrodzenia Syrii.

W r. 1833 Syria dopiero drugi rok znajdowała się w rękach egipskich. Przez lat 300 była żerowiskiem korumpowanej administracji tureckiej, pobożowskim awanturniczym paszów i wodzów janizarów. Kraj pustoszał i biedniał. W paszalykacie Aleppo z 3.200 wsi, istniejących tam w wieku XVI, pozostało zaledwie 400. Żywe równiny, które niegdyś były śpichrzem Azji Mniejszej, stawały się pustynią. Jedynie w górach Libanu, które z bronią w ręku Maronici trzymali, praca rolnika uporczywie czepiała się nieurodzajnych zboczy skalnych. Okupacja egipska dała Syrii jednoś administracyjną, bezpieczeństwo i istotne poparcie rozwoju gospodarczego na charakterystycznych dla Egiptu podstawach etatystycznych.

Do Syrii wyjechał Dembiński w sierpniu 1833 r., by z rozkazu Mehmeta Alego nawiązać kontakt z Ibrahime Paszą, dokonać inspekcji armii i rozpocząć pracę nad jej reorganizacją. Towarzyszyło mu dwóch oficerów polskich — adiutant mjr. Józef Szemiota i lekarz przyboczny i sekretarz zarazem, dr Gustaw Haage. Później generał zorganizował sobie w Syrii grupę sztabową, w skład której wszedł m. in. mjr. Bystrzanowski (znany później jako generał i dyplomata turecki pod imieniem Arslana Paszy) i przybyli przed nim emisariusze demokratyczni.

Stosunki z Ibrahime Paszą układały się jak najpomyślniej. Wraz z nim dokonał generał inspekcji bardzo mało wówczas znanego pogranicza Cylicji i Syrii, od Adany po Eufrat i dalej, w dół Eufratu. Podróż ta dała mu wiele do myślenia. Już Czartoryski w instrukcjach swych dla misji polskiej podkreślał znaczenie Syrii jako bazy wypadowej polityki Mehmeta Alego. Dembiński widział w Syrii klucz Śródkowego Wschodu. Kraj kluczowy zarówno pod względem gospodarczym, jak i strategicznym, jako węzeł komunikacyjny dwóch kontynentów i baza wyjściowa od morza Śródziemnego ku oceanowi Indyjskiemu. Dlatego właśnie w czasie swych podróży Dembiński szczególną uwagę zwracał na walory strategiczne północnego i północno-wschodniego pogranicza Syrii. Niepokoilo go, że Syrii brakło granicy strategicznej, a ukształtowanie geograficzne niektórych jej odcinków nie było wyzyskane dla celów obronnych. Jak przewidywał, w razie wojny oddziały tureckie z bazy w Marasz mogły paraliżować ruchy wojsk egipskich i powstrzymywać je aż do nadejścia posiłków rosyjskich, znajdujących się o 20 dni marszu zaledwie. Niepokojom tym dawał wyraz zarówno w rozmowach z Mehmetem Alim i Ibrahime Paszą, jak i później w memoriałach dla rządu francuskiego i angielskiego. Alarmom tym w znacznym mierze przypisać należy, że Mehmet Ali delegował płk. Szulca do spiesznego przeprowadzenia prac fortyfikacyjnych na północnej granicy swego państwa.

Drugą sprawą, utrudniającą obronę Syrii, był brak wiarygodnych map. W swych memoriałach dla rządu egipskiego alarmował Dem-

biński o organizowanie grupy kartograficznej z oficerów polskich i niezwłoczne rozpoczęcie pomiarów najważniejszych obszarów strategicznych Syrii, zwłaszcza wybrzeża i granicy północnej.

Wild West Syryjski

Dembiński był przede wszystkim żołnierzem, ale — wbrew lekceważącej opinii Ludwika Platara — nie tylko żołnierzem. Umysł miał otwarty na sprawy polityczne i kulturalne, żywo interesował się techniką i — rzecz na emigracji rzadka — doceniał znaczenie zagadnień gospodarczych dla celów politycznych. W kontakcie pozostawał ze sferami finansowymi w Anglii i Francji, na wschodzie przyjaźnił się z takimi wybitnymi jego znajomymi jak wicekonsul Ferdynand Lesseps, późniejszy twórca kanału Suezkiego, i znany ekspert finansowy i gospodarczy, Edward de Caldevene.

Z podróży po Syrii wyniósł przekonanie, że jest ona główną bazą Mehmeta Alego. Egipt, ponoszący dotychczas wszystkie ciężary jego polityki imperialnej, zaczynał wykazywać przejawy wyczerpania populacyjnego i gospodarczego; niedobór rekruta, pustki w skarbie i bunt wojskowy w latach 1833—34 były już groźnym memento dla Egiptu. Co więcej — alarmował Dembiński — żołnierz egipski nie wytrzymywał klimatycznych i geograficznych warunków w Syrii, na której granicach leżały przyszłe rozstrzygnięcia. Obrońcą ich należało oprzeć na własnych gospodarczych i ludnościowych zasobach kraju. Zasoby te — stwierdzał Dembiński — Ibrahime Pasza przeceniał ilościowo i jakościowo. Mimo niezaprzeczonego rozwoju pod rządami egipskimi, zubożała i wyludniona Syria z trudnością znosiła ich ciężar. W korespondencji z Dembińskim generał Chrzanowski słusznie podnosił niemożliwość planowanego przez Ibrahima poboru powszechnego w Syrii; bunt w latach 1834 i 1838 dowiodą wkrótce jego przenikliwości.

Interesowała go przede wszystkim sytuacja fellachów jako głównej masy ludności Syrii. Chłop syryjski czy libański znajdował się w niewoli kredytowej właściciela ziem lub kupca, który udzielał mu lichwiarskich, z roku na rok rosnących pożyczek na przeżycie i spłacenie podatków, pożyczek, przykuwających do ziemi czynszownika i wywłaszczających z ziemi rolnika wolnego. Nie inaczej też postępowały władze egipskie, dążąc wyraźnie do zagarnięcia przez państwo całkowitej kontroli nad wytwórczością rolną — tak jak to było w Egipcie. Dembiński nie zaważał się wystąpić przeciw temu systemowi, a w obronie chłopów, żądając obniżenia oprocentowania państwowego kredytu rolnego. Na tym tle doszło nawet do ostrego starcia z Ibrahime Paszą, któremu Dembiński długo nie mógł zapomnieć interesowności i lekceważenia potrzeb ludu.

Dembiński niechętnie patrzył na nadużywany przez władze egipskie system pracy przymusowej, dezorganizujący życie ludności. Celem wykonania swych planów chciał zorganizować specjalny korpus techniczny z chrześcijan syryjskich, nie podlegających obowiązkowi służby wojskowej. Służba w tym korpusie o tyle różniłaby się od wojskowej, że żołnierze jego, budując kanały, cysterny i drogi, pracowaliby dla siebie, dla wspólnej przyszłości. Oni bowiem po ukończeniu służby otrzymywaliby zmeliorowaną wspólnym trudem ziemię i oni zamieszkalibyby budowane przez siebie domy. Na całym północnym pograniczu Syrii i wzdłuż Eufratu powstałby w ten sposób silny łańcuch zamożnych kolonii militarnych, któreby stworzyły zaplecze i rezerwę dla linii umocnień granicznych, osłoniły kraj przed najazdami Beduinów, i — co najważniejsze — stałyby się ośrodkami odrodzenia gospodarczego i kulturalnego Syrii. Dembiński przewidywał wprowadzenie nowych metod upraw, polepszenie rasy bydła, wprowadzenie pastwisk sztucznych. Melioracje, lepsze budowlę, opieka sanitarna, a nade wszystko wyższy poziom żywoży, podniosłyby też zdrowotność kraju. Przykładem swym kolonie pociągłyby rolników okolicznych, pociągłyby nawet Beduinów, którzy, pozbawieni pastwisk i możliwości rabunku, i tak musieliby zmienić tryb życia. Rozkołysana wyobraźnia generała Dembińskiego widziała już potok emigracji europejskiej, odwracający się od Ameryki do Syrii, widziała nowy cywilizowany kraj pod egidą Islamu.

Rozumiał dobrze, że dla tych rozległych planów trzeba było kapitałów. Przez Edwarda de Caldevene i konsula Lessepsa miał kontakt z finansierką francuską. Znał jednak podejrzliwość Mehmeta Alego wobec banków europejskich, jego ostrożną politykę finansową, unikającą jakiegokolwiek skrzępowania kraju. Sam zresztą podkreślał konieczność niezależności akcji kolonizacyjnej od prywatnej chęci zysku, „bo w rękach zainteresowanych — pisał później — to co planowałem mi szczęściu ludności, obróciłoby się w jej nieszczęście”. Główny więc nacisk kładł na inicjatywę i dobrą wolę rządu, a zwłaszcza w przekonaniu, że bogactwo kraju stanowi o bogactwie rządu.

Dembińskiemu marzyła się ta koloniza-

cja pod kierownictwem kadry fachowców polskich, którzyby w nowym kraju znaleźli drugą ojczyznę. I samego generała pociągało to wielkie przedsięwzięcie. Pociągało go rolnictwo i w ogóle działalność praktyczna. Z jego korespondencji ze wspomnianym Edwardem de Caldevene wiemy, jak żywo i szczegółowo, z jakim głębokim zapałem zagadnieniami technicznymi i gospodarczymi interesował się możliwościami rolnictwa, np. w Egipcie. Ale przede wszystkim miał na oku „możność dokonania prawdziwego dobra” — jak pisał do Mehmeta Alego. „...Byłbym niemal szczęśliwym w niesześciu mej Ojczyzny, — pisał później, gdy się plany jego załamały — gdybym mógł rozwinąć (te projekty), bo widziałem w nich dobrobyt dużego odłamu ludzkości”.

Ale — jakżeśmy zaznaczyli — plany te załamały się wraz z opuszczeniem służby egipskiej. Przekazując swą misję gen. Chrzanowskiemu, jemu też chciał przekazać i swe plany kolonizacyjne, które cenił bardzo wysoko, i którym wróżyć dużą przyszłość. Zostało z nich niewiele, jeśli chodzi o sprawy polskie. Może to echo tych planów odbiło się później w rokowaniach inżynierów polskich z plemionami Szammar o usławnienie i eksploatację rzeki Chabur, może echem tych planów były wzorowe fermy i plantacje doświadczalne, zakładane w późniejszych dziesięcioleciach przez agronomów polskich w okolicach Latakii. Nie mamy na to dowodów, ale chciałoby się zrobić i inne przypuszczenia, że mianowicie projekty Dembińskiego znalazły rozwinięcie w polityce osadniczej Ibrahima Paszy. Właśnie na rok 1835 przypada jego starania o osiedlenie 20.000 Beduinów na prawym brzegu Eufratu, by zabezpieczyć granice tureckiego kolonii militarnych. Może też i wpływ Dembińskiego można przypisać późniejsze plany osiedlenia plemion kurdyjskich i rozmach prac irygacyjnych w okolicach Antiochii.

Ale myśl Dembińskiego sięgała jeszcze dalej. Przewidywał, że samo rolnictwo nie zapewni Syrii stanowiska gospodarczego. Według jego planów w korpusie technicznym miały być kompanie rzemieślnicze, których przeszkoleni rzemieślnicy mieliby zapewnić obsługę techniczną osad wojskowych i stworzyć w nich ośrodki przemysłowe. Już przed wyjazdem do Egiptu myślał o poszukiwaniu w Syrii żelaza i węgla i starał się o inżynierów polskich. Planu jego zbiegały się z zamierzeniami Ibrahima Paszy. Własnym więc sumptem wysłał Szulca i Orlickiego na poszukiwanie węgla w górach Libanu. Badania te wydały wyniki pomyślne; eksploatacja lignitów libańskich w Qornail i Matn zorganizowana została przez administrację egipską na podstawie odkryć i planów oficerów polskich.

Ale gen. Dembiński zamyślał o czymś daleko większym. Jak wiemy, w okresie swej inspekcji w Syrii północnej zarządził rekonesans w dorzeczu Eufratu. Były to czasy, kiedy sprawa komunikacji z Indiami wysuwała się jako jeden z motywów przewodnich polityki angielskiej i w gruncie rzeczy decydowała o jej stosunku do Mehmeta Alego. Na porządku dziennym była już sprawa Kanału Suezkiego, zwłaszcza odkąd badania kpt. F. R. Chesney'a w r. 1830 i inżyniera francuskiego w służbie egipskiej Linant de Bellefonds wykazały, że między Morzem Czerwonym i Morzem Śródziemnym nie ma różnicy poziomów, jak to przed tym przypuszczano. Właśnie w roku przybycia Dembińskiego do Egiptu przybył tam z natchnienia Saint-Simona jego prorok Prosper Enfantin z kilkunastu technikami francuskimi i przy pomocy Ferdynanda Lessepsa przedstawił Khedywowi opracowane przez swą grupę plany połączenia obu mórz. Ale Mehmet Ali bał się kanału.

Anty - Suez

Wyłaniał się natomiast plan inny — ogromny w swych zamierzeniach, doniosły w skutkach i dziś jeszcze wydający się mrzonką ze względu na swe trudności techniczne. Jakżeśmy zaznaczyli generał Dembiński jasno widział znaczenie Libanu i Syrii jako zachodniej części wielkiego śródziemnego łańcucha łączącego morze Śródziemne z oceanem Indyjskim i w memoriałach swych podnosił wielkie możliwości gospodarcze i polityczne państwa, któreby je chciało wykorzystać, mając te kraje w swym ręku. Znaczenie to rozumiał zwłaszcza Palmerston i bacznie uwagę zwracał na Lewant. Mianowany przezeń w r. 1830 konsul Warren zdołał w ciągu lat czterech otworzyć kraje Lewantu dla handlu angielskiego, doprowadzić do ożywienia żeglugi między portami angielskimi a Bejrutem, do powstania szeregu firm angielskich w Damaszku i Aleppo. Warren sięgał zamiarami dalej. Za jego zachętą, firmy angielskie na Lewancie zaczęły zakładać filie w Bagdadzie. Konsul angielski bowiem ujmował rolę portów lewantyńskich, jako punktów wypadowych ku Zatoce Perskiej i dalej — ku Indiom. W swym obszernym memoriale z 29 maja 1834 r. podnosił, że stworzenie choć jednego ufortyfikowanego punktu oporu na spławnej części Eufratu wystarczałoby dla umożliwienia ekspansji w dół rzeki, ku Bagdadowi i Basrze, które nigdy silnie z Turcją nie związane, z łatwością dałyby się ująć w ręce państwa, które o-

parte o morze Śródziemne, rozwinęłoby ekspansję w tym kierunku. Mogłoby się zdarzyć, — wywodzi Warren, — że flota egipska, zbudowana na Eufracie, zjawi się w Zatoce Perskiej i, opanowawszy Maskat, zakończy budowę jednolitego Imperium Arabskiego, któreby wywierało odciążenie nacisk nie tylko na Persję, ale i na dalekie Indie.

Ale z tych też względów Anglicy ogromnie interesowali się komunikacjami między morza syryjsko-irackiego. Już w latach 1830-1832 kpt. Chesney, znany nam ze swych badań nad przesmykiem Suezkim, prowadził rekonesans w Syrii i dolinie Eufratu. Z badań tych wysnuł wniosek o możliwości budowy kanału, który, łącząc Orontes z Eufratem, umożliwiłby komunikację wodną między morzem Śródziemnym a Zatoką Perską poprzez Syrię. Już po opuszczeniu przez Dembińskiego Egiptu, jesienią r. 1834, rząd angielski zainteresował się planami Chesney'a. Pierwszym etapem ich realizacji miała być rozbudowa dróg kołowych na szlaku od Antiochii przez Aleppo do Bir nad Eufratem i założenie tam bazy żeglugi rzecznej przez firmę angielską. Jednocześnie kpt. Chesney miał stanąć na czele silnej, uzbrojonej wyprawy w dół Eufratu, celem zbadania dalszych możliwości rozwoju tych dróg komunikacyjnych. Mehmet Ali, przestraszony perspektywą tak głębokiej penetracji i udaremnienia swych własnych planów ekspansji, udaremnił te projekty zręcznym sabotażem dyplomatycznym, a Ibrahime Pasza wziął się szybko do fortyfikowania linii Eufratu i organizacji własnych baz żeglugi na Orontesie.

Mamy prawo przypuszczać, że do prac fortyfikacyjnych i organizacji żeglugi przyczyniły się rozmowy Ibrahima Paszy z Dembińskim. Generałowi znane były plany Chesney'a, które uderzyły go śmiałością pomysłu technicznego i szerokością horyzontów politycznych. Ale historia pociąga inną jeszcze hipotezę. Jak pisał w r. 1876 Aleksander Jabłonowski, inżynierowie polscy przygotowali „projekt angielski bezpośredniego połączenia koleją morza Śródziemnego z Zatoką Perską, a więc Europy z Indią, badając odpowiednio całą linię od Aleksandrety wzdłuż Eufratu aż po Bassore”. Kiedym to było? Czy może zarządzane przez Dembińskiego badania terenowe miały na celu nie tylko sprawdzenie możliwości projektu Chesney'a? Czyżby Dembińskiemu światała myśl o ewentualnym zastąpieniu lub zdublowaniu drogi wodnej linią międzymorskiej kolei żelaznej? Hipoteza pociągająca, ale bez pewnych podstaw.

W każdym razie, na podstawie danych, zgromadzonych przez jego sztab, doszedł do przekonania, że projekt Chesney'a jest zasadniczo wykonalny, ale technicznie biedny, że punktem wyjściowym dróg wodnych winien być nie Sydon (jak projektował Chesney), lecz inny port, bardziej na północ położony (zdaje się, Aleksandretta) i że trasa kanału głównego winna być również przesunięta bardziej na północ, celem wykorzystania obfitujących w wodę rzek, płynących z gór Tauru.

Jak sobie Dembiński wyobrażał trasę kanału syryjskiego — nie wiemy. Zdając sobie sprawę z politycznej doniosłości tego projektu, jego szczegóły trzymał w tajemnicy i obliczenia swe pozostawił na wypadek swej śmierci w opieczetowanej kopercie. Dokument ten zaginął; wszelkie wiadomości o projekcie Dembińskiego czerpiemy ze wzmianek i uwag, rozsypanych po jego listach i memoriałach. Nawet bowiem po wyjeździe z Egiptu idea kanału syryjskiego nie zaprzestała zaprzętać jego myśli. Była to dlań sprawa nie tylko handlowa. Widział wprawdzie ogromne korzyści pieniężne, płynące z ożywienia obrotu między Europą i Indiami, ale przede wszystkim miał na oku gospodarcze i kulturalne ożywienie krajów arabskich na trasie tego handlu międzymorskiego, ożywienie pustyni i stworzenie nowych ośrodków rolniczych i przemysłowych. I miał również na oku ziemców swoich, pozbawionych ojczyzny. Tak jak niegdyś w swych planach osadniczych, tak i teraz przeznaczał im rolę wykonawców technicznych swego projektu, zarazem rolę pionierów osadniczych i nosicieli postępu w krajach Wschodu. I jak niegdyś w wezwaniu do rodaków, pisanym przed wyjazdem do Egiptu, widział w tych pionierach postępu łączników między światem chrześcijańskim i światem Islamu, którzy mieli zapoczątkować syntezę wartości obu tych kręgów kulturalnych dla dobra całej ludzkości. W wyniku tych zamierzeń generał Dembiński opublikował „Projet d'une Société à établir par action pour le commerce de l'Euphrate en joignant ce fleuve par un canal à la Méditerranée”. Poza krytyką projektu Chesney'a i zobrazowaniem technicznych możliwości i ogromnych perspektyw gospodarczych tego przedsięwzięcia projekt zawierał plan organizacyjny spółki akcyjnej z kapitałem 150 milionów franków francuskich i repartycję udziałów. Planem tym miał się podobno, zająć znany finansista paryski, Jacques Lafitte. Po jego bankructwie jednak projekty Dembińskiego poszły w zapomnienie.

Innymi drogami poszedł rozwój krajów arabskich i bieg wypadków nie ziszczył ani szerokiej planów polskiego generała, ani nadziei polskich żołnierzy, lekarzy, inżynierów.

*) Na podstawie J. St. Bystronia „Polaków w Ziemi Św., Syrii i Egipcie” (1930) oraz niedostępnym Bystroniowi materiałom, ogłoszonym przez A. J. Benisa „Une Mission Militaire Polonaise en Egypte” (t. I-II, 1938). Artykuł niniejszy jest fragmentem studium o polityce polskiej w okresie kryzysu wschodniego, które będzie ogłoszone w jednym z następnych numerów.

LIBAN

OCZYMA
FELIKSA TOPOLSKIEGO



W poczekalni Prezydium Rady Ministrów



Posiedzenie Rady Ministrów pod przewodnictwem Prezydenta Republiki



Quartier Sursock; obiad u p. Izabelli B.



Gen. Edward L. Spears, minister pełnomocny W. Brytanii w Libanie i Syrii



Kawas Delegacji Francji



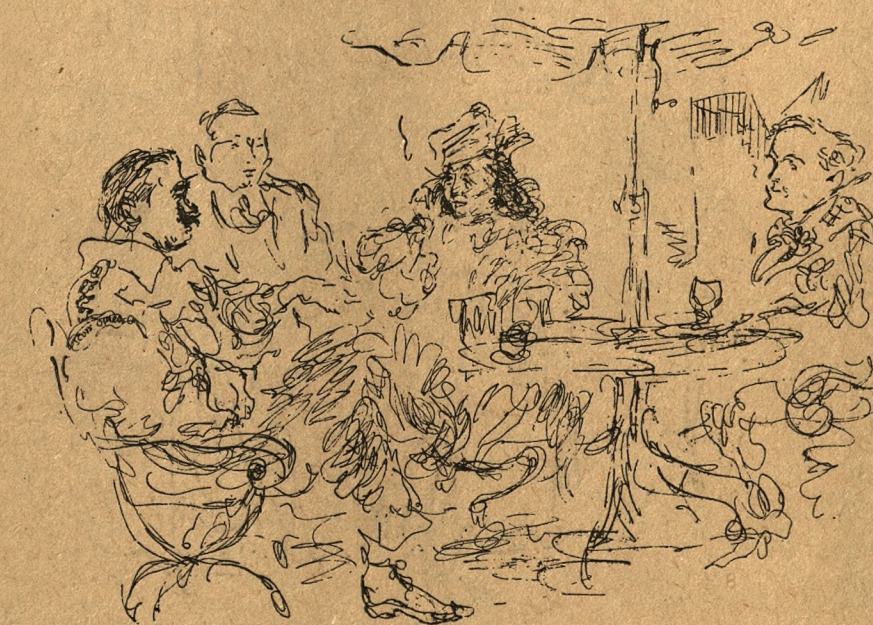
U patriarchy maronickiego w Bkerke



Zandarm



„Życie nocne” Bejrutu



Życie towarzyskie Bejrutu



Quartier Basta

J. W. HIRSCHBERG

PARK NARODÓW ŚRÓDZIEMNOMORZA

Monumentum aere perennius
(Horacy)

Stany Zjednoczone A. P. posiadają swój Park Narodowy. Młode społeczeństwo amerykańskie, pragnąc przechować i przekazać przyszłym pokoleniom skrawek Dziewiczej Ameryki z czasów Kolumba, otoczyło pieczołowitą opieką i wałem ochronnym ustaw częstokę jednego ze swych Stanów.

Historia, magistra vitae, wzniosła na Libanie i w jego sąsiedztwie Park Narodów Śródziemnomorza. Wybrała ona jeden z najbardziej malowniczych krajobrazów świata. Jest w nim i łagodność Rivieri i czar nieba włoskiego, i poważny chłód śniegiem okrytych szczytów Alp. Lato ogrzewa jego stopy, wiosenny powiew muska biodra, jesień otacza barki, a śnieg pokrywa szczyty — tak opisuje arabskie przysłówie ten kraj.

I oto w tym kraju, jednym z najruchliwszych, łączącym na odwiecznym szlaku, gdzie krzyżowały się drogi lądowe i morskie trzech części świata, stworzyły narody i kultury, państwa i cywilizacje Śródziemnomorza Park Dziejów, w którym zachowały się zabytki kultury, nauki, religii i wierzeń od prapoczątków dziejów rodu ludzkiego aż po dzień dzisiejszy.

Zapewne wspanialsze i świetniejsze pomniki swej wielkości postawił geniusz każdego narodu na swej własnej ziemi. Piramidy faraonów, świątynie Królów Babilonu, rezydencja Achemenidów w Ktesifonie. Nic nie dorówna pięknu Akropolis greckiej, surowej powadze świątyni i forum Rzymu cesarów, bazylikom i kościołom wschodniego cesarstwa. Na obcej ziemi stworzyli Arabowie cuda architektury świata: Alhambra w Grenadzie, wielki meczet w Kordobie, Alcazar w Sewilli. Duch średniowiecza krzyżowców zmaterializował się we wczesnym gotyku Europy. Ale tylko na Libanie i w Syrii znajdzie wędrowiec wszystkie te epoki reprezentowane, tętnące jeszcze życiem. Tu żyje pstrokaczka wszystkich ras, wyznawcy trzydziestu religii, wyznani, obrządków, sekt, mówi się jeszcze językiem Chrystusa, rezyduje siedemnastu patriarchów, obok licznych szejków, mędrców, inkarnacji Boga, wcieleni Mesjaszów, ukrytych Proroków.

Kto umie czytać zaklęte w kamieniu dzieje świata kultury śródziemnomorskiej, pragnie słuchać legend, opowiadanych u kolebki ludów, wówczas, gdy mozolono się nad prawzorami pisma, powstawały mity o bogach i ludziach, pierwsi żeglarze ruszali na podbój nowych ziem, niech pójdzie do Libanu. Nazwy miast, istniejących od blisko czterech tysięcy lat, opowiedzą swą historię, samotne cedry w szumie obwieszczają odległe dzieje, ruiny wspaniałych świątyni zaplaczają nad dawną wielkością. Ale nade wszystko człowiek, aere perennius, opowie dzieje Libanu.

Wielki Liban

Niepodległe państwo Wielkiego Libanu wzięło swą nazwę od pasma górskiego. Chętni zwali te góry Nibłani, i stąd wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nazwa fenicko-hebrajska Lebanon. Egipcjanie pisali R-m-n-n,

Asyryjczycy Labnanu. Południowe stoki nazywane są w Biblii Hermon, etymologicznie słowo pokrewne pld-arabskiemu mahram — świątynia.

Ongiś stoki Libanu pokryte były aż do brzegów morza cedrami. Wytrzebiali je Fenicjanie, używając jako budulca dla swej floty, sprzedając ubogiemu w drzewo Egipcjowi i Assyro-Babilonii. Dziś pozostało tylko niewiele okazów, szumnie nazywanych lasami.

Tyr, Saïda, Fenicjanie

Wędrowkę naszą rozpoczniemy od granicy południowo-zachodniej, gdyż główny port kraju, a zarazem stolica — Bejrut, zamknięty jest na czas wojny dla ruchu pasażerskiego. Ma to też i swą dogodną stronę. Zegnąjąc Akko — jeden z południowych portów Fenicji, i jadąc wzdłuż wybrzeża morskiego na północ, przekraczamy granicę, mijamy „Drabinę Tyru” i jesteśmy wkrótce w sercu dawnej Fenicji, portach Tyr i Sydon. Tyr (właściwie Sor, arabskie Sur) i Saïda (fenickie Sidon) to dwa główne miasta kraju Sydończyków lub Kanaanczyków, jak się zwał lud, je zamieszkujący. Starożytni Grecy nazywali ich też Foinikes od foinos — krwisto-czerwony, taką bowiem cerę mieli opaleni marynarze sydońscy. Dobrze ich znali mieszkańcy sąsiednich krajów. Ich szybkie okręty, zwinne, karne załogi budziły podziw Greków, którzy, ich śladami idąc, rozbudowali swą flotę, nie potrafili ich zresztą doścignąć. Wszyscy wielcy zdobywcy, Sennacherib, Psametych, Necho, Kserkes, Aleksander posługiwali się flotą fenicką. Uczeń twierdzi, że rywalizacja floty greckiej i fenickiej była przyczyną wojen grecko-perskich.

Ale miasta fenickie są znacznie starsze. Tabliczki z Tel-Amarna (XV w. przed Chr.), dokumenty assyryjskie i hieroglify egipskie wspominają już Akko, Tyr, Sydon, Berytus, Gebal, Arwad. Wspaniały opis Tyru i Sydończyków dał prorok Ezechiel (rozdział 27). W krótkich, zwiezłych zdaniach rysuje obraz ludu, który utrzymywał stosunki handlowe z całym światem. Oni skoncentrowali w swym ręku wymianę produktów między Egiptem, Grecją, Przednią Azją, Kaukazem, Assyrią, Babilonią, Arabią północną, Jemenem, Indiami i Afryką południowo-wschodnią, nie mówiąc już o naturalnym zapleczu, Syrii i Palestynie. Okręty pod tą flagą, wyruszając z zatoki Akaby, docierały do wschodniej Arabii. Sydończycy pierwsi opłynęli Afrykę, pierwsi założyli kolonie na Cyprze i w Afryce północnej.

Bejrut

Nazwa pochodzi, wedle Stefana Bizantyjskiego, od kanańskiego beerot — studnie, wedle innych od berosz — cyprys. Do wielkiego znaczenia dochodzi dopiero za czasów cesarstwa. Oktawian nadaje miastu prawa kolonii i nazwę Colonia Julia Augusta Felix Berytus. Wspaniale rozkwita w III w. po Chr. i staje się siedzibą słynnej Akademii prawa rzymskiego, z której wyszli Papinian i Ulpian. Justynian nazywa Bejrut „nutrix legum”. Trzęsienie ziemi w 529 r. zniszczyło mia-

sto. Dopiero w nowych czasach odzyskuje ono swe dawne znaczenie.

Gebal-Byblos

Wedle Filona z Byblos i Stefana Bizantyjskiego jest Gebal (arabskie Dżebal), t. zn. góra, jednym z najstarszych miast świata. Grecy przemianowali Gebal na Byblos. Tu mieszkali pierwsi kupcy, handlujący z Egiptem. Ezechiel nazywa ich starszyzną Gebal i jej mędrkami. Wykopalka opowiadają o rasie karłów, która zamieszkała tu 3—4 tysiące lat przed Chrystusem. W okresie hellenistycznym było to miasto kultu Adonisa.

Baalbek-Heliopolis

W dziale wód między rzeką Leontes (dziś Litani) a Oronte (Asi) na zachodnich stokach Antylibanu, w dolinie Beka leży miejscowość Baalbek, t. zn. poświęcona bogu Baal doliny Beka, po grecku zwana Heliopolis, bo Baal identyczny jest z Heliosem, greckim bogiem słońca. Mit głosi, że długie lata nie posiadał Baal przybytku w kraju, aż wreszcie matka i bracia niebiescy wdali się w sprawę i na trzy tysiące lat przed Chr. wzniesiono mu świątynię w Ras - Szamra, na północ od Ladoycei (Latakii). Dzieje powstania Baalbeku łączy legenda z Kainem, Nimrodem, królem Salomonem. Z tak potężnych bloków są zbudowane świątynie, że nie inaczej, a tylko czarne moce — dzinny — potrafiły je wzniesić. I rzeczywiście obliczono, że jeden z tych bloków kamiennych waży przeszło tysiąc ton — i potrzebny byłby zespolony wysiłek 40.000 (!) ludzi, by go ruszyć z miejsca.

W Baalbek odkopano i udostępniono trzy świątynie z okresu późno rzymskiego: Jowisza, Bakhusa, Wenery (Fortuny?). Wspaniałe, potężne budowle, symbol panowania Rzymu na Wschodzie, wzniesione zostały w III wieku po Chr. Niezłamana była jeszcze wówczas siła kultury rzymskiej, jeśli dwieście lat po Chrystusie wzniesić potrafiła w najbliższym sąsiedztwie Galilei takie pomniki swej mocy!

Emessa-Homs, Tadmor-Palmyra

W dolinie Orontesu leży inne miasto, które rozkwitło w tych czasach: Emessa, rodzinne miasto cesarza Heliogabala. W żyznej jego dolinie pokonał w r. 272 cesarz Aurelian królową Tadmor, Zenobię (po syryjsku Bat-Zabbai). Budowę Tadmor wiąże legenda z królem Salomonem. On to, wedle opowiadania (I Król 9,18), wznosił miasto Tamar (palma w języku hebrajskim) w pustyni. Równoległy tekst (II Chron. 8,4) wymienia Tadmor. Jak powstała rzymsko-grecka nazwa Palmyra, nie łatwo odgadnąć. Palma oznacza w języku greckim foinix. Skąd grecka końcówka -yra do łacińskiej nazwy? Ale mniejsza o to!

W latach między 106—272 po Chr. stare, znane jeszcze Assyryjczykom Tutmur, staje się stolicą państwa, które obejmuje spadek po Petra i Nabanejczykach. Wykorzystując stałe wojny między Rzymem a Partami, potrafił wybić się na czoło w Syrii, zagarnąć cały handel, wzniesić w szczerej pustyni prze-

piękną, rozległe miasto kultury hellenistycznej. Za czasów dzielnej Bat-Zabbai i jej męża Udżaina (Odenata) dochodzi do takiej potęgi, że zaczyna zagrażać suwerenności Rzymu w Azji. Przynął sen stolicy pustyni. Bat-Zabbai zdobyła tryumfalny pochód Aureliana w r. 274. Żołdacy zniszczyli doszczętnie miasto. Dziś — w części jego ruin gnieździ się mała, nieznaczna wioska arabska.

Damaszek — asz — Szam

Pomijamy pierwsze dwa okresy wiecznego miasta Syrii Damaszk, assyro-babilońskiego Timaszku, Tiramaszki, pamiętającego czasy Abrahama. Jego epoka aramejska i hellenistyczna przebiega równolegle z dziejami Fenicji-Libanu.

Do największej swej chwały dochodzi Damaszek za czasów panowania Omajjadów. We wrześniu 635 zdobywa jeden z najzdolniejszych wodzów arabskich, Chalid ben al-Walid, to miasto dla Islamu, który wycisnął niezatarte swe znamię na jego charakterze. Ze stolicą Omajjadów łączy się wspomnienie złotego okresu Arabów, panowanie dzielnych, tolerancyjnych chalifów. Obecna stolica Syrii dźwiga się powoli z upadku, w który wtrącił je ostatecznie Timurlenk — Tamerlan najazdem z r. 1399.

Wyprawy krzyżowe

Rusząmy na północ! Historycznie i geograficznie zbliżamy się do miejscowości, które zasłynęły w okresie wypraw krzyżowych. Nazwy Tartus, Krak des Chevaliers, Laodycea, Antiochia nad Orontesem przypominają barwne opisy Zofii Kossak-Szczuckiej w „Krzyżowcach”. Nawet ktoś, kto nie zna dziejów tych czasów, potrafi wczuć się w ducha rycerstwa Europy, idącego odbić grób Pański z rąk niewiernych.

Poprzez Bizancjum i wrota Cylicji docierają zastępy krzyżowców do Antiochii (Antakii), stolicy Seleucydów. W r. 1098 zdobywa Rajmund z Tuluzy, dzięki pomocy niebiańskich rycerzy, miasto, które po każdym trzęsieniu ziemi, jakie je nawiedzało, odbudowywało się jeszcze piękniej i rozleglej, zasługując w pełni na swe przydomki „Antiochia Piękna”, „Wielka”. Przez 170 lat była siedzibą księstwa Franków. Obecnie, cieni dawnej wielkości, przypada kilka lat temu znów w udziale Turkom — jako część Sandżaku Alexandretty, tureckiej prowincji Hajtaj.

Po Antiochii poszła Laodycea-Latakia. Zdobył ją w r. 1098 hrabia Normandii, po zmiennych losach odzyskał w r. 1103 Tankred i włączył do księstwa. Dziś stanowi ona ośrodek sekty muzułmańskiej Alutów.

Wraz z krzyżowcami zbliżamy się znów do granic Fenicji. Tu na wybrzeżu w Tartus stoi stara gotycka katedra „Naszej Pani Syryjskiej”, a dalej w głąb kraju równie znamienny pomnik, zamek rycerzy zakonnych Krak des Chevaliers.

Po tej wędrowce poprzez tysiąclecia Parku Narodów wracamy do Bejrutu, w którym żyją z niegasnącą siłą tradycje wieków — szczególnie zaś odczuwa się tętnienie nowego twórczego okresu Libanu.

LIBAN OCZYMA FELIKSA TOPOLSKIEGO



P. Linda S. ze swym nargilem



Na schodach Delegacji Francji



U wejścia na suk (rynek)

X. KAMIL KANTAK

LIBAN – KRAJ BOGÓW I SEKT

Najdawniejsza ludność dzisiejszej Republiki Libańskiej, ongi Fenicji, jest semicka, pokrewna sąsiedniej Palestynie, wówczas nazywanej Kanaanem, oraz Syrii, pokrewna zatem tak Izraelitom, jak i tym plemionom, jakie ci zastali w Palestynie, przybывая z Egiptu. Religia tych wszystkich ludów to politeizm, który wyrósł tak z rozkładu pojęcia monoteistycznego ongi bóstwa, jako i ubóstwionych potęg przyrody. Naczelnego boga nazywano Baalem, t. j. panem, albo Molochem (poprawnie Milk, Melk), to znaczy królem. Bóg ten różnicował się dalej zależnie od miejsca, gdzie go czczono, lub atrybutów i właściwości, jakie mu przypisano. Nazwę jego spotykamy w znanych z historii rzymskiej imionach kartagińskich: Hannibal, Hasdrubal, względnie Ha-milk-ar. Bóg twórczości, mocy, potęgi, ale i zniszczenia i wojny, który odpowiadał twórczej i, jak na południu, niszczącej mocy słońca. Żeńskim dopełnieniem była bogini Asztoret (Aszera). Grecy z niej wysublimowali Afrodite, pochodzącą z Cypru, a mającą za symbol gołębia. Imię jej semickie wymawiali Astarte. Odpowiada ona babilońskiej Ishtar, a kartagińskiej Tanit.

Kult tych bóstw pociągał starożytnych Izraelitów, ile że rodziny królewskie, fenickie i izraelskie, powinowaciły się ze sobą, a królów miast fenickich byli zarazem kapłanami. Sydońska księżniczka Jezabel i jej córka Athalia zastępną w Biblii, szerząc kult swoich bóstw i prześladowując religię monoteistyczną Jahwy. Walka z tym obcym kultem wypełniała życie proroków, przede wszystkim najślawniejszego z nich, Eliasza. Kult ten był zmysłowy i okrutny, m. in. odznaczał się paleniem żywcem dzieci. Opis takiej ofiary znajdujemy u Flauberta w „Salambo”. Księgi prorockie Biblii pełne są narzekai, oburzeń i żalów na bałwochwalstwo, a dolina pod Jerozolimą, Gehinnom, gdzie się odbywały te ofiary, dała nazwę piekłu-Gehennie.

Podobój Aleksandra Macedońskiego wprowadził z grecką cywilizacją nie tyle religię bogów greckich, jak istniejącym już bóstwom nadał nazwy greckie, stosownie do synkretyzmu, właściwego politeizmowi. Tak się stało, że Baala doliny Bekki nazwano bogiem słońca, Heliosem, a przesławna jego świątynia i miasto u źródła Orontesu, Baalbek, otrzymało nazwę Heliopolis. Dzisiejsze ruiny z II wieku po Chr. świadczą o bogactwie świątyni i popularności kultu. Opodal w Emesie (Homs), już w dzisiejszej Syrii, znajdowała się świątynia również sławnego Baala, również boga słońca; z rodziny jego kapłanów pochodził słynny Helioabal, o którym mówi Krasinski w „Irydionie”. (Początek wieku III po Chr.)

Tymczasem jednak chrześcijaństwo zawitało do Libanu. Nie mogło być inaczej. Kraj sąsiedni Galilei, dokąd raz zaszedł sam Pan Jezus, jedyny kraj poza Palestyną, gdzie można znaleźć Jego ślady (poza egipskim pobyt w czasie niemołwectwa). Jego mieszkańcy postawili ponad Swoich rodaków, mówiąc, że gdyby w Tyrze i Sydonie działy się cuda, jakie czynił w Kafarnaum, toby miasta te się nawróciły. Fenicia leżała pomiędzy ośrodkami pierwotnymi chrześcijaństwa: Jerozolimą i Antiochią, i chociaż nie znamy itinerarium św. Piotra, kiedy uciekając przed prześladowaniem udał się, do syryjskiej stolicy, wolno przypuszczać, że schronił się pod opiekę nawróconego setnika Kornelejo w Jaffie i stamtąd najbliższą drogą nadmorską ruszył do Antiochii przez Tyr, Sydon, Bejrut, Tripoli i t. d. Dalej, jeżeli podówczas Damaszek posiadał już gminę chrześcijańską, to analogicznie niewątpliwie miały je bardzo wcześnie miasta fenickie. Martyrologium często wymienia je jako siedzibę męczenników. W pierwszym połowie w. IV przejeżdżała tędy św. Helena w swojej pielgrzymce do miejsc świętych. Wtedy to wielkim synodem obchodzone poświęcenie nowego kościoła w Tyrze, a synod ten zajmuje wybitne miejsce w historii arianizmu. Biskupem Berytu był pierwotnie ów Euzebii, co potem przeszedł do Nikomedii, głowa arian, chrzciiciel Konstantyna Wielkiego.

Walki dokoła arianizmu nie pozostawiły trwałych śladów w kraju. Inaczej siynna herezja Monofizytów, co powstałszy w V wieku, stała się kilkuniowym fermentem w Imperium Bizantyńskim i utorowała drogę Islamowi. Monofizyci w przeciwieństwie do wszystkich innych chrześcijan, także prawosławnych i protestantów, nie uznają dwóch odrębnych natur w Chrystusie, boskiej i ludzkiej, lecz twierdzą, że ludzka rozplynęła się w boskiej. Wyznanie to mają Koptowie, Abisjńczycy, Ormianie, nazywający się gregorianami, lub prawosławnymi (niewłaściwie), a w Libanie są to Jakobici. Jest ich tutaj niewiele, może ze 20.000. Liturgie odprawiają w dawnym języku syryjskim, mówiąc, że to ten sam język, którego używał Jezus.

Katolików miejscowych nazywają zdawna melkitami, to znaczy wyznawcami religii cesarza bizantyńskiego, po syryjsku Melek. Dzielią się na dwie grupy według języka, używanego w liturgii: grecką i syryjską. Grupa syryjska jest w Libanie słaba, zaledwie 6.000 osób; na czele jej stoi patriarcha, obecnie kardynał Tappuni. Grecka, silniejsza, liczy 67.000 osób z metropolią na czele. Warto wspomnieć, że prałat msgr. Saig wyświęcił w czerwcu

jednego z naszych księży obrządku greckiego. Nie brak oczywiście także Greków dyzunitów. Liczą ich na 107.000 osób.

Ormianie, w przeciwieństwie do tamtych grup, są to imigranci ostatniej doby. Oczywiście, jak wszędzie na Wschodzie, tak i na Liban umiały dotrzeć ormiański kupiec. Jednak dopiero krwawe rzezie naszych czasów, dokonane przez Młodoturków, wypędzając ich z ojczyzny, sprowadziły w większej liczbie na Liban, osobliwie do Bejrutu. Można ich ocenić na 65.000 osób, pośród nich 7.000 katolików. W Bejrucie rezyduje także od r. 1928 ich patriarcha. W parlamencie libańskim Ormianie posiadają dwóch przedstawicieli.

Istnieją zatem trzy liturgiczne grupy chrześcijańskie: syryjska, melkicksko-grecka, ormiańska. Każda z nich dzieli się na katolików i dysydentów (jakobitów, ortodoksów, gregorianów). Każda ma swoją odrębną hięrsznię kościelną z patriarchą na czele, który u gregorianów zowie się katolikos. Na terenie republiki libańskiej jednak rezydują tylko patriarchowie katolicki; wszyscy oprócz ormiańskiego noszą tytuł patriarchy antiocheńskiego. Patriarchowie greccy, unicki i dyzunicki (ortodoksyjni), mają swą siedzibę w Damaszk. Katolikos ormiański (gregoriański) nosi tytuł patriarchy Cylicji i mieszka pod Bejrutem. Również ormiański patriarcha katolicki używa tytułu patriarchy Cylicji.

Najliczniejszą grupę wśród religii Libanu stanowią maronici. Będzie o nich mowa poniżej.

Na rozdrobienie sekt i religii w Libanie wpłynęły warunki geograficzne i rozwój historyczny. Wpłynął także podobój muzułmański. Liban wraz z Syrią dostał się pod rządy wyznawców Proroka w drugiej połowie w. VII. Nie sięgnęła doń epopea bizantyńska w. X. Atoli odbili go krzyżowcy i założyli w nim swoje feudalne księstwa, z których najprędzej było Tripoli. Pozostały po nich ruiny kościołów i zamków. Od XIII w. jednak muzułmanie uzyskują przewagę. Tworzą się mniej lub bardziej udzielne księstwa pod nominalnym zwierzchnictwem kalifa. Od r. 1516 Turcy osmańscy położyli nań swoją ciężką rękę i wdałi nim aż do likwidacji zeszej wojny.

Panowanie mahometan sprowadziło dwa skutki: religijny i językowy. Islam stał się nie tylko religią panującą, jak na Bałkanach, ale i religią większości ludności podbitej, przynajmniej w Syrii; jakobici łatwo odstępowali od chrześcijaństwa. W Libanie muzułmanie stanowią silną mniejszość.

Wpływ językowy, to arabizacja, połączona z infiltracją Beduinów. Dawny język syryjski zanikł niemal zupełnie, używa go jeszcze zaledwie kilka wsi w górach.

Islam bardzo wcześnie podzielił się na rozmaite sekty. W Libanie połowa mahometan uznaje sunnę i ma na czele wielkiego muftiego, rezydującego w Bejrucie; druga — to szyici. Obie one liczą po 200.000 wyznawców, dalej idą Druzowie — 70.000 osób, i pomniejsza grupy. Za czasów krucjat jedna z siedzib sekty, Haszaszin, znajdowała się na Libanie. Sekta ta terrorizowała tak chrześcijan, jak muzułmanów morderstwami, stał poszedł wyraz francuski assassin—morderca. Nieliczni potomkowie tej sekty, Nosairi, istnieją jeszcze dzisiaj, jednak raczej na północ od granicy libańskiej, w górach powyżej Lattakieh. W XVIII i XIX w. zasygnęła odwaga i okrucieństwem inna jeszcze sekta Druzów. Posiadają oni własne terytorium autonomiczne Dżebel (góry) Druz, na południowy wschód od Libanu, ale stanowią również dużą grupę etniczną w południowym Libanie. W samym Bejrucie mają własny cmentarz. Ogólna ich liczba jest niewielka, kilkadziesiąt tysięcy, lecz odrębność ich budziła zawsze zainteresowanie.

Jak Nosairi, tak i Druzowie pochodzą z szyitów, chociaż oddalili się od urzędowej szyi tak samo jak od sunny. Nazwa ich poszła od sługi kalifa Hakima (996—1020) Darazi, co prześladowany w rodzimym Egipcie, po śmierci kalifa uszedł w niedostępne góry Libanu. Właściwy charakter doktrynalny nadał im Pers, Hamza Ibn Ali, zresztą przeciwnik Darazego. Wiara ta jest mieszaniną pierwiastków mahometaniskich i gnostycznych, a punkt ciężkości polega na bóstwie Hakima, co zniknąwszy do czasu, przyjedzie pod koniec świata, jak Zbawca swego wiernego ludu, i obdarzy go panowaniem nad światem. Jest to nauka ściśle ezoteryczna. Prozelitów nie przyjmują, a wierzni swoje tają. Ale nie tylko wiarę. O ile między sobą zobowiązani są do miłości i prawdomówności, o tyle wobec obcych nie ich nie obowiązują i mogą śmiało zaprzeczać i ukrywać swoją religię. Wyznają swoistą metampsychozę. Liczba siedem ma u nich święte znaczenie. Nie posiadają świątyń. Szejkowie ich są zarówno zwierzchnikami religijnymi, jak świeckimi.

Oddzieleni umyślnie od świata Druzowie są fanatyczni, bitni i slyną z zamiłowania do niepodległości. Turcy mieli z nimi wiele kłopotu i nigdy nie zdołali ich ujarzmić. W XIX wieku pomagali sobie tym, że podżegali Druzów przeciw chrześcijanom. Wstrząsnęły światem rzezie libańskie w latach 1845 i 1860. Wtedy jednak mocarstwa europejskie ujęły się

za Libańczykami i zmusiły Turcję do udzielenia krajowi pewnego samorządu pod chrześcijańskim gubernatorem. Ale jeszcze w latach 1926-7 Druzowie powstałi przeciw Francuzom, a rozruchy te objęły wielką część Syrii z samym Damaszkem, który Francuzi bombardowali, nie wyrządzając zresztą poważniejszej szkody.

Poziom intelektualny i życiowy muzułmanów, jak wszędzie, tak i w Libanie, niższy jest od chrześcijańskiego. Posiadają szkoły wyznaniowe, typu niższego maktab i wyższego madras; madrasy kształcą duchownych. W czasie niepodległości Libanu powstały szkoły ogólnokształcące typu europejskiego, niższe i średnie.

Muzułmanie miejscowi mają oparcie w Syrii, kraju przeważnie mahometaniskim. Przewyższają także chrześcijan solidarnością, pomimo że skąd inąd istnieją znane przeciwieństwa pomiędzy sunnitami a szyitami. W Libanie jest znacznie więcej szyitów, niż w Syrii, kraju sunnitów. Wszystkie powyżej wymienione grupy religijne chrześcijańskie, czy muzułmańskie, a to samo należy powiedzieć o Żydach, mniej czy więcej liczne, stanowią cząstkę religii, znanych skąd inąd, mających swój punkt ciężkości i ogół wiernych poza Libanem. Istnieje wszelako także obrządek, właściwy samemu Libanowi, gdzie indziej jeśli spotykany, to tylko wśród emigrantów libańskich, którzy dorobiwszy się, najchętniej i najprędzej wracają na rodzime pielesze. Są to maronici.

Maronici nie posiadają, doktrynalnie biorąc, żadnej własnej religii. Są to katolicy, wierni Rzymowi, z własnym jednak obrządkiem. Ich język liturgiczny jest syryjski, ceremonie uległy daleko idącej latynizacji, podobnie jak u Ormian polskich (językiem ojczystym od szeregu pokoleń jest język arabski).

Maronici wywodzą się od mnicha, żyjącego na przełomie IV—V wieku, św. Marona. Grób jego pod Apameą w północnej Syrii zasłynął cudami. Wystawiono na tym miejscu klasztor, który wkrótce stał się ośrodkiem bujnego życia religijnego. Podczas walk, wywołanych przez monofizyzm, ludność skupiająca się dokoła niego stawiała opór herezji. Podobnie opierała się islamowi, zawsze pod znakiem św. Marona, od którego przybrała nazwę. Musiała atoli opuścić swoje pierwotne siedziby i szukać schronienia w górach Libanu. Kalif Merwan (744-48) uznał ich za samodzielną grupę religijną. Podczas krucjat nawiązała stosunki z Rzymem, i tak na Soborze Laterańskim r. 1215 zasiadał patriarcha maronicki (z tytułem antiocheńskiego) Jeremi II. Wtedy to, jeżeli nie wcześniej, zlała się z nimi sekta monoteletów, pokrewna monofizytem. Kronikarz Gwilelm z Tyru opowiada, jakoby się ich nawróciło 40.000, przypisując się do Maronitów.

Maronici przez cały czas, także podczas ciężkich rządów tureckich, pozostali wierni jednoci Kościoła. Nie było i nie ma wśród nich schizmatyków. W r. 1854 Grzegorz XIII założył dla nich kolegium maronickie w Rzymie, dziś jeszcze istniejące. W w. XVII i XVIII zasięgnęła uczona rodzina Assemani, pochodzenia maronickiego, której członkowie—księża położyli największe zasługi około ogłoszenia starożytnych syryjskich pism religijnych. Józef Szymon Assemani (1687—1768), pochodzący z Trypoli, kustosz Biblioteki Watykańskiej, wydał w wielkich pięciu tomach Ojędz Kościoła syryjskich i podczas podróży na Wschodzie zebrał do Watykanu przeszło 2000 medali i monet oraz 150 rękopisów. Współpracował z nim jego brat Józef Ludwik (zmarł w r. 1782), a w te same ślady poszedł jego bratanek, Szecepan Ewody, arcybiskup tytularny Apamei, publikując katalogi rękopisów wschodnich bibliotek florenckich i rzymskich. Podstawę organizacyjną i dyscyplinarną maronitów stanowią uchwały synodu w Luwayzeh z r. 1736, aprobowane przez Benedykta XIV w r. 1741.

Na czele hierarchii maronickiej stoi patriarcha, mający siedzibę w Bkerkeh na Libanie. Podlega mu dziewięć biskupstw, z tych w Libanie Bejrut, Dżebel, Batrun, Sydon, Tyr, Tripoli. Ogół wiernych według statystyki watykańskiej z r. 1932 wynosi 400.000, z tego na Libanie mieszka ich jakich 350.000. Emigranci znajdują się w większej liczbie na Cyprze, gdzie posiadają własne biskupstwo, oraz w Egipcie, Afryce południowej i Ameryce. Mnisi maronicy są zorganizowani w dwie kongregacje, nazywają się antonianami, od św. Antoniego Pustelnika; na czele każdej kongregacji stoi opat generalny. Utrzymują szkoły średnie i niższe. Najważniejszym ich zakładem naukowym jest Kolegium Mądrości (Collège de la Sagesse) w Bejrucie o typie francuskiej szkoły średniej. Kandydaci do stanu duchownego kształcą się w siedmiu seminariach, w Uniwersytecie Jezuckim w Bejrucie oraz w Kolegium rzymskim, jednak liczba tych najlepiej wykwalifikowanych księży nie jest wielka. Wielką przeszkodą w możliwości pracy naukowej duchowieństwa maronickiego stanowi smutne ubóstwo księży, związane z ich wielką liczebnością. Produkcja naukowa czy literacka jest, niestety, znikoma.

Rozumie się, że także wszystkie inne grupy religijne posiadają klasztory i szkoły. Gre-

cy mają swój zakon bazylianów, Ormianie — mechitarystów. Szkoły męskie i żeńskie są bądź powszechne, bądź średnie, na ogół typu francuskiego. Ale szkolnictwo prowadzi nas już do wpływów zachodnich: katolickich — francuskich i protestanckich — amerykańskich.

Łacinników, katolików obrządku łacińskiego jest stosunkowo bardzo mało. W Bejrucie posiadają oni dwie parafie, obie kapucyńskie, z tych jedna jeszcze z w. XVII, pod wezwaniem św. Ludwika. Kościół ten nazywany jest nieraz, niewłaściwie, katedrą. Pośród kapucynów bejruckich znajduje się dwóch Polaków, X. Malinowski i brat Rufin jeszcze z czasów przedwojennych. Dalsze parafie łacińskie istnieją w Trypoli, Tyrze i t. d. Głową kościelną wszystkich łacinników jest Delegat Apostolski arcybiskup Leprière, z zakonu franciszkańskiego. Z urzędu swego jest on równocześnie przedstawicielem Ojca Św., tak wobec wszystkich obrządków wschodnich, jak i wobec rządu republik libańskiej i syryjskiej. Łacinnicy są to przeważnie Francuzi. Spotyka się wśród nich kilka polskich rodzin emigranckich.

Łacinnicy tutejsi reprezentują najwyraźniej wpływ zachodni. Przez szereg wieków Libańczycy spoglądali daleko bardziej za morze na zachód niż na wschód, za góry, skąd im groziło prześladowanie. Liban jest najbardziej chrześcijański ze wszystkich krajów Wschodu i najbardziej podatny na wpływy cywilizacji europejskiej.

Czynnikiem zasadniczym są tutaj szkoły. Utrzymują je na ogół zakony, i to zakony łacińskie tak męskie, jak żeńskie: kapucyni, misjonarze, szarytki, panie nazaretanki, panie z Besançon i t. d. Szkolnictwo średnie znajduje się najliczniej pod opieką Braci Szkolnych. Wyższe dzierżą jezuiti: Uniwersytet św. Józefa. Nie tutaj miejsce, żeby się nad nim obszernie rozwodzić. Nadmienię tylko, że posiadały: teologiczny, prawniczy, medyczny, nauk wschodnich, sztuk pięknych, a niebawem ma być także utworzony humanistyczny (lettres). Posiada obfite księgozbiory, największe na Wschodzie, a mając własną tłocznnię, jest także ośrodkiem żywego ruchu twórczego w nauce, zwłaszcza, o ile chodzi o badanie Wschodu. Między profesorami liczy uczonych wielkiej miary, że wspomnę tylko o niedawno zmarłych OO. Lammens i Valensin.

Uniwersytetowi dał początek Polak, O. Ryżo, znana postać z emigracji po r. 1831. Formalnie jednak został on założony dopiero w r. 1876. Obecnie kształci się na nim zaścęp młodzieży polskiej, przeważnie księży i lekarzy, a w marcu i w czerwcu b. r. obchodziliśmy święcenia kapłańskie trzech Polaków. W kaplicy wielkiego kościoła św. Józefa odbywają się co niedziela nabożeństwa polskie. Poza naukową Uniwersytet św. Józefa rozwija także działalność religijną o wysokim poziomie. Obecny Prezydent Republiki jest jego byłym uczniem i przewodniczy na dorocznych bankietach b. uczniów Uniwersytetu.

Jeśli studenci nasi w Bejrucie odbywają przeważnie nauki na Uniwersytecie francuskim, to najwięcej studentek zapisało się na amerykański. Tak przemianowano w r. 1920 istniejące od połowy ub. w. Syrian Protestant College. Rodzimej ludności protestanckiej, jak wiadomo, nie ma na Wschodzie. Amerykański zakład powstał w celach misyjnych, a miał i ma na oku przede wszystkim chrześcijan nie-katolików, nawrócenie bowiem muzułmanów okazuje się praktycznie niemożliwe. Na czele instytucji stoi prezydent, będący zarazem głową misji. Wyteżona działalność kilkudziesięcioletnia Uniwersytetu i misji protestanckiej zjednała pewną liczbę nawróceń na protestantyzm, nie jest ona jednak duża. Liczba studentów tego wyznania wynosi około 250 osób, w ogólnym zespole — jedną czwartą. Przeszło jedna trzecia studentów to muzułmanie, Żydzi, stanowią jedną ósmą, trochę mniej jest katolików i dysydentów, a sporadycznie spotyka się także Hindusów i Persów. Typ szkoły jest oczywiście amerykański, a podobnie jak i uniwersytet św. Józefa zawiaduje on siecią szkół średnich i niższych, nie inaczej jak ongi nasz przesławny Uniwersytet Wileński.

Liban w ciągu wieków stał się krajem bogów i sekt. W kraju tym jeszcze obecnie różnice religijne wydają się mieć większe znaczenie, niż w innych, zobojetniałych bardziej dla spraw wiary narodach i państwach. Podział najważniejszych stanowisk w państwie odbywa się z reguły według klucza religijnego. I tak Prezydent Republiki winien być maronitą, premier—muzułmaninem. Przewodnictwo Parlamentu pozostawało zwykle w rękach przedstawiciela wspólnoty prawosławnej. W obecnym parlamencie porzucono tę zasadę. Przewodniczącym Izby został szyita, natomiast wicepremierostwo dostało się prawosławnemu. W rządzie jest poza tym zawsze reprezentowany przedstawiciel wspólnoty grecko-melchickiej (katolickiej).

Liban jest jedynym krajem we wschodniej części morza Śródziemnego, którego większość stanowią chrześcijanie. Nada mu to charakter specjalny i nakłada nań specjalne zadania.

O. PEREGRIN-MALINOWSKI

SŁOWACKI NA LIBANIE

Kiedy z końcem lata 1836 r. Słowacki udawał się w podróż na Wschód, nie czynił tego bez wątpliwa jedynie pod wpływem chwilowego, niekontrolowanego porywu wyobraźni, ani nie z namowy swego przyjaciela, Hołyińskiego, jakby się to wydawać mogło z listu poety do matki¹⁾. Ulegając wspólnemu wielkich romantyków jego dobie dążeniu, realizował Słowacki przez swą podróż wschodnią dawne marzenie, jakim było zobaczenie na własne oczy tego dziwnego i tajemniczego kraju, za jaki uchodził w wyobraźni wczesnych romantyków Wschód, kraje Lewantu.

I słusznie. Romantyzm bowiem, którego zasługą było niewątpliwie odkrycie piękna przyrody i przeszłości nie tylko własnych krajów, lecz także i obcych, musiał w pierwszym rzędzie zapalić wyobraźnię swych adeptów do poznania krajów o wielkiej przeszłości, krajów, gdzie przeszły i skrzyżowały się wszystkie rasy, religie i narodowości, t. j. Bliskiego Wschodu.

Zwróćmy naprzód w krótkim ujęciu uwagę na poszczególne etapy podróży Słowackiego, której zakończeniem był właśnie jego pobyt pod górami Libanu. Zwiedzając zatem Włochy i Rzym, przybywa poeta z końcem sierpnia do Neapolu, skąd wyrusza do Grecji. Podobnie jak jego wielki poprzednik Chateaubriand, w czasie swej pielgrzymki z Paryża do Jerozolimy, rozkoszuje się Słowacki swym pobytom na ziemi greckiej, której pomniki przeszłości działają bardzo silnie na jego poetycką wyobraźnię.

Drugim etapem podróży na Wschód naszego poety jest Egipt. Reasumując wrażenia, których Słowacki tam doznał, możemy przypomnieć, że ziemia Faraonów przemówiła do niego:

„czarem piramid i nieśmiertelnością mumij, spokojem piaszków, palm, lazurowego nieba i zagadką hieroglifów, — ale przede wszystkim nasunęła biblijne asocjacje o Mojżeszowych cudach...“²⁾.

Z początkiem roku 1837 przybywa poeta do Ziemi Świętej, która była głównym celem jego podróży i gdzie u Grobu Chrystusowego najgłębszych doznaje przeżyć duchowych.

Pielgrzymką tą po miejscach świętych Palestyny uważa Słowacki podróż swą na Wschód właściwie już za ukończoną. Jeżeli będzie się wybierał w następstwie do „syrjskiego miasta portowego Beyrouth“, jak się wyraża, to, aby czekać dogodnie sposobności do powrotu drogą morską, do Włoch. Pogoda jednakowoż nie sprzyja, czas oczekiwania się przedłuża. Poeta korzysta z tej zwłoki i zwiedza Damaszek oraz ruiny Baalbeku. Samo miasto Damaszek nie robi na nim większego wrażenia: „Miasto nie interesujące, a jednak bardzo piękne ma okolice“. Zachwyca się natomiast widokiem potężnych ruin świątyń w Baalbeku, których kontemplacja nasuwa mu reminiscencje z lat dziecińczych:

„Pamiętasz, droga moja, że kiedyś, a temu bardzo dawno, leżało u nas na fortepianie dzieło wielkie, z ogromnymi szyćchami, o ruinach Baalbeku i Palmiry. Stojąc między kolumnami rzeczywistymi teraz, przypominałem sobie te chwile dzieciństwa, kiedy je przegłądałem na obrazku, i serce moje pełne było smutku“³⁾.

Wróciwszy poprzez śnieżny Antyliban do Bejrutu, zamierza Słowacki zwiedzić i zatrzymać się nieco dłużej w górach libańskich:

„Nie pojedę do Konstantynopola, bo mnie to miasto nie wiele interesuje; wolę jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów“⁴⁾.

Ostatnim zatem etapem wielkiej jego podróży wschodniej to jego pobyt w górach Libanu.

Objaśnienia samego poety informują nas wcale dokładnie o czasie i miejscu, gdzie się zatrzymał. Odbądźmy więc w duchu podróż do miejsca pobytu Słowackiego w Libanie.

Dojechawszy, w Bejrucie, tramwajem nr. 1 poprzez Nahr-Beyrouth (Nahr — rzeka) do końcowej stacji tramwajowej, wkraczamy na szosę, która biegnie równolegle ze starą drogą Fenician, łączącą ongiś miasta południowej Fenicji, Tyr i Sydon, ze stolicą Fenicji północnej, Byblos, dziś Dżebajl. Po naszej lewej ręce rozciąga się w ciągu całego czasu podróży błękitna tafla morza. Z prawej posuwamy się wzdłuż przedwzgórzy libańskich, pokrytych niekończącym się prawie łańcuchem kapliczek, kościołów i klasztorów. To rozmodlony Wschód. Tu znajdowali schronienie przesładowani w ciągu wieków przez Turków dzielni wschodni wyznawcy wiary chrześcijańskiej, wśród których wyróżniają się w sposób szczególnie maronici, do których gór-

skich siedzib pielgrzymował Słowacki. W odległości 15 km. na północny wschód od Bejrutu przejeżdżamy przez Nahr el Kalb, („Rzeka Psa“), dawniejszy Lycus. Jest to potok, spływający z gór Sanninu, a wpadający tutaj w morze. Począwszy od XIV w. przed Chr., aż po dzień dzisiejszy jest ten strumyczek górski bardzo ważnym punktem strategicznym przy wszystkich przedsięwzięciach militarnych, mających na celu zawiadnięcie wybrzeżem morską Libanu. Wszyscy wielcy zdobywcy, którzy zdołali tedy przejść, uwiecznili swe czyny i imiona wyrytymi w skalnych ścianach górskich napisami. Czytamy: Ramzes II, Marcus Aurelius, sułtan Soliman I, Emir Beszir, Napoleon III, gen. Gouraud etc. Wyobrażamy sobie, z jakim wzruszeniem stawał Słowacki przed tymi śladami dalekiej przeszłości.

Dojeżdżamy teraz szybko do miasteczka Dżunieh. Morze tworzy tutaj wspaniałą zatokę, którą Renan zalicza do najpiękniejszych pejzaży świata. W odległości 3 km. od miasteczka skręcamy w prawo i pniemy się górkami serpentynami do dużej wioski, zwanej Ghazir. Położona na stosunkowo niewielkiej wysokości, 300 do 400 m. nad poziomem morza, odległa od Bejrutu o jakieś 30 km., miejscowość ta była przy końcu ubiegłego stulecia jedynym prawie miejscem wypoczynku letniego dla zamożniejszych rodzin bejruckich, jak również dla przebywających na wybrzeżu europejczyków. W tym to zakątku Libanu, z którym wiąże się także podania o bożku Adonisie i gdzie w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku będzie autor „Wyprawy Fefickiej“ pisał swój „Żywot Jezusa“, rozbił Słowacki swój namiot pielgrzyma. Nie zatrzymał się jednak w samym Ghazirze. Poszedł dalej w górę.

Wspirawszy się zatem na szczyt stoku, na którego ścianach gawisła wioska Ghazir, stajemy przed rozścielającą się u naszych stóp głęboką doliną, pełną ołwiecznych gązów i kamieni. Na szczycie przeciwległej ściany tej doliny widnieje klasztor; klasztor, jak wszystkie inne rozsiadane po Libanie, w formie prostokąta, wzniesiony z prostokątnych, ciosanych kamieni. To — Deir Mar Tanios, to znaczy Klasztor pod wezwaniem świętego Antoniego (Padewskiego), ongiś, za czasów Słowackiego, będący w posiadaniu mnichów ormiańskich, a zwany pospolicie w gwarze ludowej od pobliskiej wioszeczki: Beit-Chaszba, co w dosłownym przekładzie z arabskiego znaczy: dom wśród drzew⁵⁾.

Tutaj zatrzymał się Słowacki. Dziś klasztor ten stoi prawie pustką. Z jego tarasu rozciąga się wspaniały widok na wspomnianą zatokę dżuniską oraz na wrzynający się w morze półwysep bejrucki. Pobyt Słowackiego w klasztorze przypadł na wiosnę 1837 r.

Posłuchajmy teraz osobistych wynurzeń poety na temat pobytu jego w klasztorze Beit-Chaszba. Opuszczając Palestynę, by przez Bejrut wrócić do Europy, będzie Słowacki pisał do swej matki:

„...Więc przez miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Beit-Chaszba. Tam będę spędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne; towarzystwem moim będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz Rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syrii. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszu na rozmyślanie, bo chociaż podróż ta bardzo mnie zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis“.

Mówiąc zaś w tymże liście o samym swoim przybyciu do Libanu, tak się wyraża:

„Teraz zajechałem do kraju, w którym najpiękniejsza wiosna: jełne drzewa nie straciły zieleności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały proszą kwiatem, słodkie pyszne — słowem, jest to prawdziwie ziemia obiecana. Nie wyruszę z niej, aż za dwa miesiące“.

Na tle tak opisanej przyrody libańskiej charakteryzuje Słowacki sam klasztor, w którym spодobało mu się zamieszkać:

„Ostatnie dni mojego pobytu w Syrii spędziłem w klasztorze na górze Libanu, zwanym Beit-Chaszba, czyli „spoczynek umarłych“ w języku syryjskim. Miejsce prawdziwie bezładne, klasztor zbudowany na skale, dojrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty, rozwijające się wiosna na górach, rozległy widok na morze z mojej celi, wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie“.

Przypominają się nam w tym miejscu strofy wiersza poety:

⁵⁾ Według innej, mniej przyjętej wersji, pochodzi Chaszba od słowa syryjskiego haszau, męki agonii; stąd tłumaczy Słowacki, w parafrazie oczywiście, Beit-Chaszba jako „spoczynek umarłych“.

Kto, mogąc wybrać, wybrał zamiast domu Gniazdo na skałach orla, niechaj umie żyć, — gdy żrenice czerwone od gromu I słyhać jęk szatanów w sosen szumie.

O samym zaś pobycie i trybie życia, jaki prowadził w libańskim klasztorze, tak donosi swej matce w liście, pisanym na morzu dnia 14 czerwca 1837 r.:

„Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z nimi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zabytek składa się z 200 wokabul bez spójników i przypadkowych zakończeń. — Dzień Wielkiej-Nocy (przypadał w roku 1837 na 26 marca. Dop. autora), przepędziłem w tym klasztorze i przyjechał umyślnie Ks. Jezuita,“) ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić, lecz jego przyjacielskie nalegania tyle sprawiły, że wypowiadałem się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie uklękłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność, wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi, ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: idź w pokój, wiara twoja zbawiła ciebie“.

Pobyt Słowackiego w Beit-Chaszba działał kojąco i usposabiał go pogodnie. Toteż gdy przyszło mu opuścić gościnny dach mnichów ormiańskich, przyznaje, że:

„choć życie moje w klasztorze było dość nie zabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę... Obejrzałem się — byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztoru piaskim stały małe, czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali“.

Powróciwszy do Bejrutu, nie znajduje poeta okazji do drogi powrotnej. Spędza zatem 40-dniowy okres oczekiwania na okręt, jak sam się wyraża, na nieznosnym wypatrywaniu chwili odjazdu. Ani przyjęcia zorganizowane na jego cześć w świecie towarzyskim Bejrutu, ani przychyłność, jaką mu okazywał jego konsul⁶⁾ nie zdołały go rozweselić. Uczynił to dopiero przyjazd z Jerozolimy starszego Hołyińskiego, z którym związał się serdeczną przyjaźnią. On to z pewnością przyczynił się w głównej mierze do wyrobienia Słowackiemu opinii w Bejrucie, o której oto jak się wyraża sam poeta:

„Muszę ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputacją poety, więc wszyscy ubiegali się, abym z nimi gadał, i od czasu Lamartina nazaczyli pobyt mój pierwszą kreską. Dosyć mi to było miło, zwłaszcza, że po tym balu (chodzi o przyjęcie zorganizowane na jego cześć) nazajutrz miałem wsiąść na okręt i puścić się w daleką podróż — była więc w tem jakaś romantyczność, której wyrazić nie potrafię. Nazajutrz po balu odprowadzał mnie Hołyiński do okrętu, chciał bowiem koniecznie do ostatniej chwili być ze mną, i tak urządził swoją podróż, żeby mu po mnie ani godziny w Bejrucie nie zostało, mówiąc, że mu to miasto byłoby nieznosne beze mnie“.

Dziwnym zbiegiem okoliczności spotyka się Słowacki ponownie z Hołyińskim w Tripoli, gdzie statek jego zatrzymał się na dłuższy czas. Słowackiemu bardzo przypadło do serca to miasteczko, które zwiedzali obaj.

„Lecz ten dzień, ostatni w Tripoli przepędzony, był jednym z najprzyjemniejszych dni mojej podróży... włożyliśmy się po cudownych okolicach tego miasta... porównując jego ładny cmentarz turecki z naszym ulubionym cmentarzem w Bejrucie, gdzie co wieczora siadaliśmy razem na marmurowym turbanie, patrząc na morze i słuchając placu kobiet tureckich, które na grobowcach znajomych /rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w od dawaniu czi zmarłym, wierniejsze niż nasze kobiety wspomnieniom; Marzyłem kiedyś, będąc dzieckiem, o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczu“.

Dumania Słowackiego na Libanie, w klasztorze Beit-Chaszba, trwały 45 dni. Czy wniosły one coś w dorobek literacki poety? Owszem. Piszę bowiem sam o tym do swej matki:

⁶⁾ Ryłło, Polak jezuita z pobliskiego klasztoru w Ghazir.

⁷⁾ Chodzi najprawdopodobniej o konsula francuskiego.

„Na górze Libanu pracowałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelece, aby na przypadek rozbicia można go rzucić w morze, i tak coś po sobie ocalić. Ale potem mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych, pomyślałem, że jeżeli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“.

Jakiż zatem był dziwny ten owoc jego marzeń libańskich, do którego tyle przywiązywał wartości?

Zanim odpowiemy na to pytanie, musimy sobie wstępnie krótko zdać sprawę z dwóch zagadnień. A mianowicie: w jakim kierunku szła działalność literacka Słowackiego w okresie jego podróży na Wschód, oraz w jakim nastroju duchowym poeta w czasie tej podróży się znajdował?

Otóż wiemy, że po opuszczeniu Kraju, w przeddzień Powstania Listopadowego, Słowacki zrywa stopniowo z tym rodzajem poezji, do której czerpał natchnienie z rozczuwania się w utworach romantycznych Byrona. W krąg jego zainteresowań wchodzi teraz coraz to częściej rozmyślanie nad własnym narodem. Zastanawia się nad jego stanem duchowym, myśli o jego cierpieniach i przyszłości. Kiedy zaś lektura trzeciej części „Dziadów“ oraz „Księga naboju i pielgrzymstwa“ Mickiewicza, jak również i własne jego próby wskazania narodowi drogi, w postaci napisanego w r. 1834 „Kordjana“, objawiły mu całą bezcelowość, głoszonych dotychczas poglądów na temat odrodzenia ojczyzny, następuje w jego życiu duchowym przełom. Przeobrażenie to dokonuje się głównie w czasie jego pobytu w Szwajcarii. Rozczuwanie się w Biblii i głębsze wnikięcie w sprawy religijne wpływa na jego nowe koncepcje. Uważa on, że:

„jedynym pokrzepieniem dla cierpiących współczesną polską niedolę mogłaby być tylko ta religijna wiara, że ich cierpienie przyjęte będzie u Boga jako ekspiacja za grzechy narodu i że z następnych pokoleń za cenę tej ekspiacji ciężar niedoli zostanie zdjęty“.

W takim to nastroju przybywa Słowacki do Ziemi Świętej. Zwiedzanie tamże miejsc świętych, a zwłaszcza noc spędzona na kontemplacji u Grobu Chrystusowego, sprawia, że doznaje głębokiego wstrząsu wewnętrznego.

„Noc z 14 na 15 stycznia miałem spędzić u grobu Chrystusa. Na wspomnienie tej nocy, tak miałem rozigrane nerwy, że łyzy rzucały mi się do oczu. Noc, u Grobu Chrystusa przepędzona, została mi mocne wrażenie na zawsze“.

Rozmyślanie, jakim się przy tej sposobności oddawał, utwierdzały go w poglądach na przyszłość narodu polskiego.

„Chyba nie podobna, iżby się Chrystus nad tym narodem nie litował, żeby te cierpienia ogromne ostatnich pokoleń polskich nie miały odkupić najcięższych nawet win“.

Co więcej, Słowacki wyniósł z Ziemi Świętej przekonanie, że dzięki czystości jego serca, które się nie skałało żadnym grzechem podłym, został powołany na duchowego przywódcę narodu, głoszącego potrzebę i konieczność ofiary za grzechy narodu oraz wielkiej „miłości dla ludzi i litości“.

Wspomniane właśnie momenty duchowego rozwoju poety stanowią o genezie i treści poematu Słowackiego, który się ukazał w Paryżu w niespełna rok po jego podróży wschodniej, a któremu na imię „Anhell“.

„Anhell“ powstał właśnie w Libanie, jako owoc jego „marzeń“ w klasztorze Beit-Chaszba. I jeżeli spostrzegamy u kolebki „Anhellego“ wspomnienia przeżyć religijnych samego poety, jak to, że Słowacki ubrał swego bohatera, to znaczy samego siebie, „w szaty chrystusowe“, że nadał mu nawet „melancholiczną i trochę chrystusową twarz“, że posłużył się stylem biblijnym, tak charakterystycznym przez swą prostotę i spokój, że sprawia, iż dzieło sztuki rozciąga jakąś nieuchwytną, zaziemską, religijną atmosferę, to na stworzenie tych wszystkich czynników zożyły się niewątpliwie nastrój i jego rozmyślanie w zacisznym ustroniu górskim na Libanie, gdzie dopełnił Słowacki odbywający się w nim proces wewnętrznego odnowienia.

I dlatego też, ilekroć będziemy czytali dedykację, jaką wypisuje poeta na pierwszej stronie swego dzieła: „Stefanowi H. (Hołyińskiemu) na pamiątkę spotkania się w Ziemi Świętej i pod górami Libanu“ — nie będą te słowa już dla nas czymś obcym. „Anhell“ łączy się w naszej wyobraźni z Libanem; spoglądając na jego szczyty, uświadamiamy sobie ze wzruszeniem, że zaledwie wiek temu patrzyły na nie oczy Słowackiego.

¹⁾ List z 14 czerwca 1837.

²⁾ Krobicki, „W stulecie Anhellego“, K. L. N. 1938, nr. 42.

³⁾ Z listu do matki, datowanego z Bejrutu, 17 lutego 1837.

⁴⁾ Ibidem.

LESŁAW RENCKI

Radio Bejrut - ostatnia mowa Premiera

Od samego początku wojny Bejrut stał się ważnym ośrodkiem wojskowym i politycznym na Bliskim Wschodzie. Główna kwatera gen. Weyganda, dowódcy wojsk francuskich na Wschodzie, które razem z armią gen. Wawella miały odegrać tak ważną rolę w planach wojennych Sprzymierzonych, — Bejrut kipiał życiem oddziałów, szykujących się do współdziałania z Turcją we wspólnym ataku na Bałkany. W tym czasie radiostacja bejrucka

Catroux z września 1941 r., skierowany do Łączkowskiego, potwierdza warunki i wyraża zgodę na rozpoczęcie polskich audycji.

Teraz trzeba jeszcze uzyskać zgodę władz polskich, ominąć różne przeszkody i podejrzania. Równocześnie, ku zdumieniu Libańczyków, odbywają się próbné audycje w języku polskim. Chodzi jednak o to, żeby audycje polskie z Bejrutu były audycjami Polskiego Radia, a nie audycjami Radio Levant w języku

cuski na Bliskim Wschodzie, przynosił liczne artykuły i fotografie, dotyczące spraw polskich. Słowem — jak to wyraził dziennikarz libański, Harfouche — „Polska usadowiła się w krajach Lewantu silniej w czasie wojny, niż przez dwudziestolecie przedwojenne“. Polska dla Lewantu stała się czymś, podświadomie mającym swój poważny ciężar gatunkowy. Dziś posiada pozycję, której nigdy uprzednio nie miała. Wiele czynników, o których by trudno jeszcze pisać na tym miejscu, złożyło się, iż w chwili obecnej Polska zajmuje w opinii publicznej Syrii i Libanu tu miejsce, które odpowiada jej wkładowi do wysiłku wojennego Sprzymierzonych i roli, jaka przypada jej między narodami świata.

Pod koniec lata 1942 r. przybyła do Libanu II Brygada Dywizji Karpackiej, dowodzona przez płk. Frączka. O ile krótki pobyt w Homs tworzona w r. 1940 Brygada Karpackiej nie pozostawiła trwałszych śladów w pamięci miejscowego społeczeństwa, o tyle pobyt II Brygady zbliżył bardzo żołnierza polskiego do ludności Syrii i Libanu. Specjalnie zorganizowane przez Brygadę na prośbę Placówki Min. Informacji w Bejrucie ćwiczenia wobec dziennikarzy prasy miejscowej i licznych korespondentów wojennych, amerykańskich i angielskich, sfilmowane przez ekipę francuską, przyniosły entuzjastyczne opisy gotowości bojowej żołnierza polskiego, w okresie gdy pozostawał on chwilowo poza akcją. Pisała o tych ćwiczeniach prasa angielska i amerykańska. Przez wszystkie kraje Wschodu obiegł film z tych ćwiczeń, a wśród zastraszonych bliskością wojsk Rommła Egipcjan rozszedł się pogłoski, że „Polacy idą na obronę“.

Świetna orkiestra II Brygady dała kilka koncertów propagandowych, m. in. na wieczorze polskim w Sofar oraz w radio bejruckim. W ten sposób publiczność libańska i syryjska, która od końca 1941 r. słuchała regularnie co dwa tygodnie muzyki polskiej z płyty, mogła usłyszeć wreszcie audycje żywej muzyki polskiej, której się od kierownictwa radia domagała. Biała tablica marmurowa przy drodze Bejrut-Damaszek znaczy miejsce pobytu II Brygady.

W czerwcu 1943 r. Bejrut zelektryzowany został wiadomością o przybyciu gen. Sikorskiego. Generał zamieszkał wraz ze swym najbliższym otoczeniem w Brumanie, lecz często przyjeżdżał do miasta. W Bejrucie odbyła się konferencja dyplomatów polskich z krajów Bliskiego Wschodu. Dla miejscowej — jakże szczupłej — placówki Ministerstwa Informacji powstała konieczność zdwojonej pracy prasowo-radiowej. Gen. Sikorski interesował się bardzo żywo prasą i domagał się obszernych sprawozdań. W czasie jego pobytu zostało zadecydowane rozszerzenie Placówki Min. Informacji przez stworzenie w Bejrucie Biura Prasowego.

Przyszłoby wreszcie moment najbardziej wzruszający dla Radia Polskiego w Bejrucie: Premier i Naczelny Wódz miał na falach tego radia zdać sprawozdanie ze swej podróży na Wschodzie, miał przemówić do Kraju i do rozsiadanych na Wschodzie Polaków, miał pożegnać się z Armią Polską na Wschodzie. Premier wybrał dla przemówienia dzień swych imienin — 27 czerwca. W przededniu, w sobotę przed południem dnia 26 czerwca, gen. Sikorski przybył do studia Radia Levant. Pluton honorowy Senegalczyków prezentuje broń. Odbywa się prezentacja obecnych przedstawicieli Delegacji Francji: Boegnera, szefa Biura Politycznego, i Gaulmier, kierownika Biura Prasowego, oraz Radia Levant z jego kierownikiem, Sinclairem, na czele.

Mowa premiera nagrana została na płyty. Wieczorem, w niedzielę dnia 27 czerwca, gen. Sikorski słuchał swego przemówienia w Brumanie, nadawanego w godzinie zwykłej audycji polskiej z Bejrutu.

„Każdy żołnierz polski — mówił w przemówieniu tym Premier — zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że droga do Kraju, o którym śni, wiedzie przez walkę, że znaczyć ją będzie musiał swoją krwią i potem, jego marzeniem jest rozpocząć ten bój jak najżywciej, by połączyć się wreszcie z Wami. Wyrażając najgłębsze uznanie dla postawy tego żołnierza i pełne zaufanie dla jego dowództwa, stwierdzam z mocą, że Armia Polska na Środkowym Wschodzie wypełni swój obowiązek wobec Ojczyzny“.

Nie minął rok, gdy żołnierz polski na froncie włoskim przelaną krwią pod Monte Cassino, Piedimonte, Monte Cairo i Ankoną wypełnił swój obowiązek wobec Ojczyzny. Dźwięki „Jeszcze Polska“, nadane po zakończeniu przemówienia, brzmiały szczególnie uroczysto.

Następnego ranka Premier odlatywał z Bejrutu. Liczni przedstawiciele władz francuskich, angielskich i libańskich przybyli na lotnisko. Gen. Sikorski uśmiechnięty wyraża jeszcze swe zadowolenie ze sposobu przygotowania audycji. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że przemówienie bejruckie było ostatnią mową Premiera.

Samolot ciężko wzbił się do lotu.

W kilka dni później z rozgłośni bejruckiej rozległy się dźwięki żałobnego marsza Chopina. Wieściły one światu, że Premier i Naczelny Wódz zginął w służbie dla umiłowanej Ojczyzny.



GEN. WŁADYSŁAW SIKORSKI PRZED MIKROFONEM
ROZGŁOSIŁ BEJRUCKIEJ

ka — Radio Levant, — zorganizowana przez władze francuskie, miała swą działalnością propagandową torować drogę akcji wojennej.

Załamanie się oporu francuskiego w r. 1940 odbiło się głośnym echem w krajach Lewantu. Liban i Syria, najdalej na północny zachód wysunięte pozycje Sprzymierzonych we wschodniej części morza Śródziemnego, pod rządami uległych niemiecko-włoskiej Komisji Rozbrojeniowej komisarzy rządu Vichy, stały się najbardziej wpliwowymi państwami Osi. Radio Bejrut głosiło we wszystkich językach Bliskiego Wschodu filozofię uległości wobec niezwykłego Hitlera.

W tym to czasie po drugiej stronie granicy libańsko-palestyńskiej, w Haifie, grupka ludzi spośród tych, którzy najwcześniej zjawili się na wezwanie gen. de Gaulle'a pod hasłem, że „Francja przegrała bitwę, ale nie przegrała wojny“, rozpoczęła nadawanie audycji tajnej radiostacji „Radio Levant — France Libre“. Byli tam ludzie, przybyli z różnych krajów: François Coulet porzucił wygodną służbę w poselstwie francuskim w Helsinkach, ku zdumieniu i oburzeniu kolaborantów i niestów z Quai d'Orsay, Jacques Lassaigue przybył z wieloma trudnościami z Bukaresztu, Schmiettlein z krajów bałtyckich, Sanier ze Stockholmu, Floriot z Sofii. Wszyscy ożywieli jednakowym zapałem i wolą dalszej walki, wszyscy wierzący czynny udział w wysiłku Sprzymierzonych. A był to okres największych triumfów Hitlera, wiosna roku 1941.

Nieudany pucz Khaalaniego w Iraku uwytknił z całą jaskrawością niebezpieczeństwo pozostawiania krajów Lewantu w ręku administracji rządu Vichy. Sprzymierzeni przygotowują się do zajęcia Syrii i Libanu, które z łatwością mogą być wykorzystane przez Niemców w ich akcji na Bliskim Wschodzie. Mała grupa de gaullistów podwaja swe wysiłki. Czynione są m. in. plany właściwego użycia w przyszłości radiostacji bejruckiej. W planach tych bierze czynny udział świeżo walczyli, walczących o wspólną sprawę. Oprócz audycji francuskich i angielskich nadawane będą dzienniki radiowe w językach polskim, serbskim, greckim, czeskim i słowackim. Psychoza ludzi Vichy przedłuża kampanię syryjską i uczyniła ją bardziej krwawą niż to można było przypuszczać. Ta sama psychoza sprawiła, że przed zawieszeniem broni, zawartym w St. Jean d'Acre, vichyści zniszczyli radiostację bejrucką. Trzeba było zaczynać od nowa. Z improwizowanych i składanych na prędce materiałów dało się uruchomić wreszcie stację o zasięgu lokalnym, która po paru dalszych miesiącach miała wreszcie objąć swym zasięgiem kraje Europy.

Rozszerzenie zasięgu radiostacji bejruckiej aktualizuje sprawę audycji polskich. Kierownikiem Biura Prasowego Delegacji Wolnej Francji w krajach Lewantu zostaje Lassaigue. Przy jego pomocy Łączkowski ustala warunki audycji polskich: mają to być codzienne audycje informacyjne. Tekst ich układany będzie całkowicie przez stronę polską. Nie będą podlegały żadnej cenzurze. List gen.

polskim. Dzięki pomocy przedstawiciela Ministerstwa Informacji w Jerozolimie, Kańskiego, i życzliwemu stosunkowi do sprawy Krackiewicz, Dyrektora Biura Opieki nad Polakami w Bejrucie (gdzie nie było jeszcze polskiej placówki konsularnej), udaje się wreszcie uzyskać zgodę władz polskich na firmowanie audycji polskich.

W ten sposób, Radio Bejrut zaczęło nadawać audycje polskie, od listopada 1941 r. codziennie, a od lutego 1942 roku, t. j. od chwili jeszcze silniejszego wzmocnienia stacji nadawczej, — dwa razy dziennie. Audycja nocna była przeznaczona przede wszystkim dla Kraju.

Z czasem zaczęły napływać głosy od słuchaczy, od żołnierzy polskich z pustyni Libijskiej, od Polaków, rozsiadanych w krajach Bliskiego Wschodu i na Bałkanach, z dalekiego Buzuku i Kujbyszewa, wreszcie z największą radością powitane wieści, że radio bejruckie słyszane jest w Kraju. Odezwało się również Ministerstwo Informacji w Londynie w lakonicznej depeszy: „Słyszmy i słuchamy“. Dnia 15 sierpnia r. b. o godz. 18.45 Polskie Radio w Bejrucie obchodzić będzie swoją dwutysięczną audycję.

Rok 1942 to okres romantyczny radia Lewant. Było to jedyne radio, pozostające do dyspozycji Francji Walczącej. Na falach jego przemawiali nieraz gen. de Gaulle, gen. Catroux i inni wybitni przedstawiciele ruchu odrodzenia Francji. Codziennie niemal wspaniałe mówione komentarze Lassaigue'a szturmowały na falach eteru do sumień i przekonań zdezorientowanych kłeską Francuzów. Ku schyłkowi lata radio bejruckie nabrało cech stacji przyfrontowej. Niemcy pod El Alamein, flota brytyjska opuszcza Aleksandrię, zapowiedzi możliwej akcji niemieckiej przeciwko Syrii, liczni spadochroniarze niemieccy, zrzucający na teren Syrii i Libanu, próby aktów sabotażu, agitacja prosiowa wśród Arabów, częste naloty rozpoznawcze na Bejrut, wszystko to stwarzało atmosferę zupełnie specjalną dla pracy w radio. Często w czasie audycji dzwonił telefon i odzywał się głos angielskiego oficera, powtarzającego umowne hasło, które oznaczało, że trzeba przerwać audycję. Miasto przepełnione było uciekinierami z Egiptu. Niektórzy zaopatrywali się w mapy pustyni i dopytywali o drogi czy ceny wielbłądów. Inni biadali, że szczepy beduińskie, rozsiadane na pograniczu Syrii, na pewno nie przepuszczą fali uchodźców. W czasie tym słuchane z napięciem audycje radia bejruckiego niosły uspokojenie i wiarę w zwycięstwo. Po audycjach odbywały się często do późnej nocy zebrania różnorodnych ich uczestników, na których głos polski nie był najpośledniejszy. Dyskutowano nad tezami propagandowymi, nad przeciwdziałaniem sugestywnym dla niektórych umysłów na Wschodzie zapewnieniem Goebbelsa. Codziennie słyszana na falach radia mowa polska, dumne dźwięki Poloneza Chopina, granego przed i po każdej audycji, robiły swoje. W pojęciach tych tak odległych od Polski ludzi utrwałała się świadomość ciągłości wysiłku wojennego Polski, jej dalszego istnienia, pomimo przeciwności wojennych i wroglej okupacji. Liczne, udokumentowane artykuły w pismach wszelkich odcieni i języków uzupełniały i pogłębiały wiadomości bieżące. W szczególności „La Syrie et L'Orient“, największy wówczas dziennik fran-

Brygada Karpacka w Libanie

Dn. 2 kwietnia 1940 r. rozkazem Naczelnego Wodza, ś. p. Władysława Sikorskiego, utworzona została Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich. W trzy tygodnie po wydaniu rozkazu, do portu w Bejrucie zawinął statek „Atos“, przywożąc na swym pokładzie kadre oficerów i podoficerów z pułkownikiem — podówcą — Stanisławem Kopańskim na czele. Miejscem postoju organizacji Brygady było miasteczko Homs.

Operacyjnie Brygada wchodziła miała w skład francuskich wojsk Lewantu, zachowując jednak swój charakter integralnej części Armii Polskiej we Francji, zgodnie z odpowiednimi umowami francusko-polskimi. Szkielet Brygady uzupełnić mieli ewakuowani z obozów na Węgrzech i w Rumunii żołnierze polscy.

Dn. 23 kwietnia dowódca Brygady, płk. Kopański, został przyjęty przez dowódcę francuskich sił zbrojnych w basenie morza Śródziemnego, gen. Weyganda. Przyjęcie, w którym brali udział Wysoki Komisarz Libanu i Syrii, Konsul Generalny R. P. w Bejrucie i szereg wysokich oficerów francuskich, miało charakter wyjątkowo serdeczny. Dnia następnego kadra wyjechała do Homs. W Bejrucie pozostała jedynie misja polsko-francuska pod kierownictwem niezwykle życzliwie dla Polaków usposobionego kpt. des Graviers, polski oficer łącznikowy oraz stacja zborna dla przyjmowania i weryfikacji żołnierzy polskich, przybywających do Bejrutu.

Pomimo niezwykle trudności, na które składały się warunki klimatyczne, organizacja i wyszkolenie, praca szła szybko naprzód. Od strzelca do dowódcy Brygady wszyscy wkładali wszelkie wysiłki w to, by jak najprędzej osiągnąć pełną gotowość bojową. Ludność tubylcza, zarówno w Libanie jak w Syrii, okazywała dużo sympatii po raz pierwszy widzianym przybyszom. Warunki współpracy układały się coraz pomyślniej. W tym tak korzystnym — zdawałoby się — momencie nadeszła tragiczna kapitulacja Francji. Gdy wieczorem dn. 19 czerwca 1940 r. radio nadało wiadomość o zawieszeniu broni, całą Brygadę ogarnęło uczucie ogromnego i nieoczekiwanego zawodu i goryczy. Cios ten nie zalał jednak polskich żołnierzy. Przeciwnie, zwiększył ich zaciętość i wolę walki. Dnia następnego, t. j. 20 czerwca, radio Ankara nadało rozkaz Naczelnego Wodza Wojsk Polskich, nakazujący Brygadzie przejść pod dowództwo brytyjskie. Nadszedł najtrudniejszy okres w życiu Brygady. Trzeba było opracować przejście Brygady z Syrii do Palestyny w najrozmaitszych warunkach: drogą kołową lub kolejną, zależnie od sytuacji, jaka powstanie.

Gen. Kopański prowadził trudne pertraktacje ze sztabem francuskim o zatrzymanie niezbędnego sprzętu i broni, oraz możliwości transportowe.

Szef sztabu francuskiego, płk. de Larminat, okazał Polakom niezwykle życzliwość, zaopatrując ich natychmiast w broń, sprzęt i wszystkie posiadane środki transportowe. Pierwsze transporty opuściły Homs dn. 21 czerwca. Pojawili się jednak nowe komplikacje. Następca gen. Weyganda, gen. Mittelhauser, który początkowo twierdził, że armia jego będzie się biła z Niemcami, następnie zmienił zdanie. Gdy doszła go wieść o wyruszeniu Brygady z Homs, zmienił początkowe stanowisko i zażądał pozostania jej w Syrii lub odjazdu bez broni. Energia gen. Kopańskiego oraz interwencja kilku życzliwych oficerów sztabu francuskiego złagodziły te warunki do wydania jedynie działek przeciwpancernych. Gen. Kopański miał zostać w Bejrucie, jako zakładnik, do chwili wypełnienia tego warunku.

Na usilne nalegania francuskich oficerów sztabowych, którzy przedstawiali generałowi Mittelhauserowi, że odbiór tych działek może wywołać zbrojny opór Polaków, zezwolono płk. Kopańskiemu na opuszczenie Bejrutu. Brygada przeszła do Palestyny. Wszędzie po drodze transporty polskie spotykały się z dużą życzliwością i pomocą francuskich władz wojskowych. Krótki pobyt Brygady w prowincjonalnym miasteczku syryjskim, w chwilach przełomowych obecnej wojny światowej nie mógł pozostawić głębszych wspomnień o żołnierzu polskim. Dopiero pojawienie się 2 Brygady Strzelców Karpackich w Syrii, stacjonowanej w pobliżu Damaszku, pozwoliło na bliższe zapoznanie się ludności tubylczej z Polakami. 2 Brygada, dowodzona przez płk. Frączka, pozostawiła po sobie przyjazne wspomnienie wśród ludności tubylczej. Kupiec damasceński, sprzedawca dzienników, czy kierowca taksówki lub dorożkarz uśmiecha się mile na słowo „Bolonja“. W następnym roku pod koniec lata w górach tym razem Libanu zaczęły się pojawiać oddziały polskie, przybywające na ćwiczenia górskie. Co kilka tygodni nowe kontyngenty ścigały do Libanu, kontynuując przyjazne węzły, zadziergnięte przez swych poprzedników. Teraz sukces był zupełny. Codziennie niemal widział się wozy polskich oddziałów, na których niby maskotki siedziały ciemno opalone dzieciaki arabskie. Podróżowały tak kilometrami, a rodzice ich wiedzieli, że dzieci są bezpieczne i nieraz po raz pierwszy w życiu porządnie nakarmione. Obrazek, który tak często miał się potem powtarzać we Włoszech.

Na początku grudnia roku 1943 oddziały polskie, stacjonowane w górach Libanu, odwiedził Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski. Delegację Brygady Wileńskiej prowadził płk. Kurek, który w pół roku potem znalazł śmierć bohaterską pod Monte Cassino.

Po pobycie Brygady pozostała gdzieś w nagich górach, na granicy Syrii i Libanu, pamiątkowa tablica z białego marmuru.

Ir.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“

ukazał się tom wierszy

Kazimierza Wierzyńskiego
RÓŻA WIATRÓW

wydanie drugie

Cena 200 milsów.

WITOLD RAJKOWSKI

Hasbaya – siedziba książąt Szehab

Hasbaya, małe miasteczko w południowym Libanie, u podnóża Hermonu, mało jest może znane podróżnym, zwiedzającym Lewant, a przecież tam właśnie od lat blisko siedmiuset znajduje się siedziba wielkiego rodu książąt gór, gniazdo słynnego emira, Baszira II.

Wybrałem się tam w gorący letni dzień natłoczoną taksówką z Saidy. Droga wiodła szarymi wąziami wśród gór, wybiegała nad głębokie doliny, mijając wioski i miasteczka, złożone z żółtych, murowanych domów o dachach czerwonych, gaje oliwne, rosnące na starannie starasowanych zboczach wzgórz, i winnice. Przejechaliśmy przez szeroką dolinę, gdzie wśród zielonych łąk widać się rzeka Litani, aby dalej zanurzyć się w gardziel wąwozu o ścianach urwistych, porośniętych krzakami i

wie Szehab zamieszkiwali w Hauranie aż do roku 1171, kiedy to sułtan Nuruddin, władca ówczesny Damaszku, zaczął szykować wyprawę zbrojną dla poskromienia swego wasala Salahuddina (Saladyna), zbyt niepodległe poczynającego sobie w Egipcie. Naczelnik rodu Szehab, Emir Munkid, obawiając się, iż jako przyjaciel Saladyna będzie, wraz z całą rodziną, pierwszą ofiarą pochodu sułtana Damaszku, zdecydował się opuścić swoją siedzibę w Hauranie, szukając nowej gdzieś nad Jordanem, w okolicy Tyberiady. Wielka karawana w otoczeniu dwóch i pół tysiąca wojowników konnych i na wielbłądach wyruszyła w pochód, idąc powolnymi marszami, podczas gdy sułtan, dowiedziawszy się o decyzji emira, skłócił za nim gońców i listy, wzywając do po-

ułożyć pod nią wielki stos chrustu i drewna. Nazajutrz zagrozili Frankom podpaleniem stosu. Hrabia Ora, zdając sobie sprawę z tego, że miasto długo nie wytrzyma, przystał na częściową kapitulację, na podstawie której Hasbaya otworzyła swą bramę Arabom, a większość załogi złożyła broń. Sam jednak Ora wraz z 500 wybranymi żołnierzami zamknął się w zamku, zamierzając czekać na odsiecz z Chateau de Beaufort. Dziesięć dni trwało oblężenie, odsiecz jednak nie nadeszła. Arabowie tymczasem zatoczyli pod mury masy kamieni i, ułożwszy z nich wysokie kopce, wdarli się po nich w nocy na zamek i rozpoczęli rzeź obrońców. Odtąd Hasbaya została objęta w posiadanie przez emira Munkida, co zatwierdzili następnie zarówno sułtan Nuruddin, jak i jego następca — Saladyn.

W lat przeszło sto później (w r. 1287) pojawiła się tu szarańcza mongolska. Daremnie ówczesny naczelnik rodu Szehab, emir Said, na czele 3000 wojowników próbował stawić czoła najeźdźcom. Z największą tylko trudnością zdołał się przebić przez hordy Mongołów, tracąc 700 zabitych i 400 rannych i schronić na równinie Bekaa. Hasbaya została spalona doszczętnie i przez pięć lat cała dolina Wadi Teim u jej podnóża stała pustką, a tylko czarne kikuty opalonych drzew sterczały na tarasach zboczy.

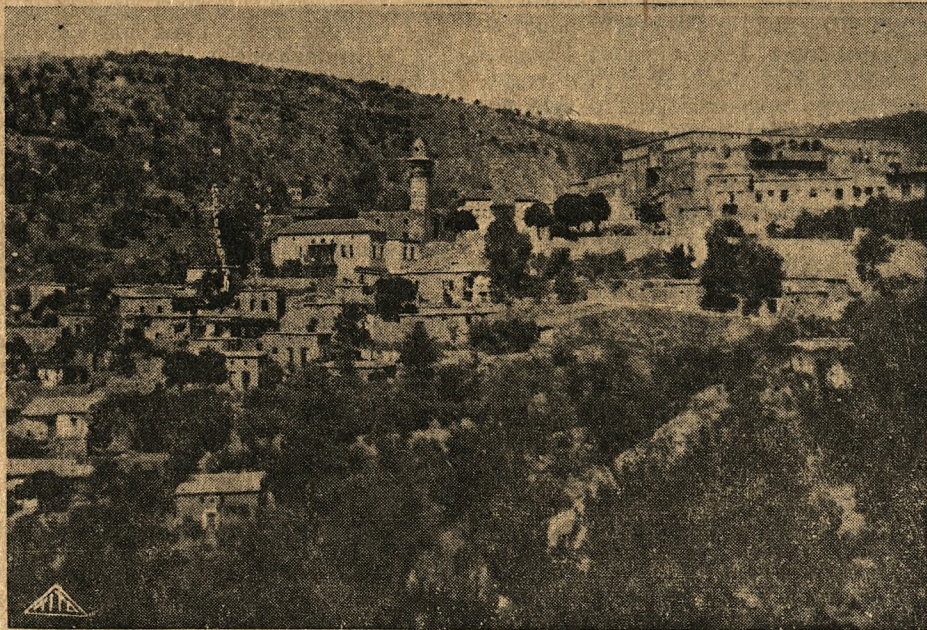
Pamiętając okropności mongolskiego najeźdźcy, emirowie Szehab nie czekali, gdy na horyzoncie pojawił się nowy środkowo-azjatycki zdobywca, Timur-i-Leng. Woleli opuścić swoją siedzibę i z całym dobytkiem schronić w Szuf na Libanie, pod opiekę zaprzyjaźnionego rodu Maan. Timur jednak nie dotarł w te strony, poprzestawszy na wyrukowanie ludzkimi głowami bazarów Damaszku.

W roku 1516 inna nawała nadszła z północy: Turcy Otomańscy pod wodzą sułtana Selima Nieugiętego. Emirowie Szehab, nie czując się na siłach walczyć z nim, woleli stanąć po stronie zdobywcy i zostali przez niego zatwierdzeni w posiadaniu swych dóbr.

W tym mniej więcej czasie ród Maan zaczął coraz bardziej wzrastać w potęgę i wkrótce zawiądłymi całymi górami Libanu, znajdując swego najwybitniejszego reprezentanta w osobie emira Fachruddina. W drugiej połowie XVII wieku ród ten zaczął jednak podupadać, a natomiast na czoło feudalnych rodzin Libanu wysunęli się emirowie Szehab. W roku 1697 na wielkim zebraniu naczelników magnackich rodów Libanu w Somkaniya na gubernatora gór został wybrany emir Beszir z gąszi Szehab, zamieszkałej w Reszaya, na północ od Hasbaya. W kilka lat później (w r. 1706) został on otruty przez własnych krewnych z Hasbaya, a na jego miejsce wybrano młodzieńczego, siedemnastoletniego emira Haidara. Od tego czasu aż do roku 1842 książęta Szehab rządili Libanem jako wasale Porty. Najwybitniejszym z nich był Emir Beszir II, prawdziwy władca gór...

Hasbaya — rodowa siedziba Szehabów — nie stała się wprawdzie stolicą Libanu, pozostając małym prowincjonalnym miasteczkiem z zamkiem, wystawionym w XVII wieku na miejscu dawniejszych budowli, niemniej jednak imię jej pojawiać się miało w historii jeszcze kilkakrotnie. W r. 1860 dziedzic z zamku był widownią krwawych scen, gdy komendant znajdującego się tam tureckiego garnizonu wydał na łup Druzom tysiąc chrześcijan, jacy się pod jego opiekę schronili. W r. 1925 Hasbaya została zajęta przez powstańców druzjskich i dopiero po zajądziej walce w okolicy słynnej świątyni tej sekty, Chaluat Al-Bieda, znajdującej się nieopodal w górach, Francuzi mogli zająć miasteczko. Raz jeszcze, w r. 1941, w tych stronach toczyły się walki między wojskami generała Dentz'a a Sprzymierzonymi...

Hasbaya liczy obecnie zapewne około dwóch i pół tysięcy mieszkańców, w większości Druzów, choć nie brak tu też ani chrześcijan, ani muzułmanów. Zamek, którego jedno piętro jest w stanie używalności, zamieszkuje wciąż członkowie rodu Szehab...



HASBAYA. WIDOK OGÓLNY.

Fot. W. Rajkowski

porośniętych głębokimi, żółtawego koloru rynami żlebow. Droga pięła się pod górę stromo, a z przeciwległej strony wąwozu, z wysoka patrząc na nią mury posępne średniowiecznego zamku, sterczące nad urwiskami — Chateau de Beaufort, inaczej zwanego Szakif Arnun, którego zmoc nie zdołał sam Saladyn.

Nieco dalej, po wydobyciu się z wąwozu, minęliśmy wioskę, której domy, ściśle otaczające małą kopułkę kościoła i jakby ażurową jego wieżyczkę, tłoczyły się na wierzchołku wzgórza, z trzech stron obramowanego głębokimi dolinami — Kiliya, miejscowość której mieszkancy, maronici, szczytą się wojenną chwałą, jaką zdobyli w r. 1925, wytrzymawszy tu oblężenie powstańców druzjskich.

Droga wiedzie znów przez wzgórza, szare lub płowe, podczas gdy od wschodniej strony dźwiga się przed nami ogromna, podłużna, popiołowo-szara masa Hermonu, ukośnie poprogowana białymi pasmami śniegu. Wjeżdżamy wreszcie w krętą uliczkę miasteczka Dżdeide Merdżayun, zatrzymując się na chwilę na placu w centrum dla wyładowania części ludzkiego „carga” naszej taksówki, poczem kierujemy się w dół, pomiędzy pagórkami na dno doliny rozległej i pełnej zielonych topól oraz srebrzystawych oliwek, wśród których płynie Nahr Hasbani. Przebywamy ją w jakiś czas później i jedziemy drogą, wspinając się dość stromo po stoku, pokrytym oliwnymi gajami, aż za zakretem odśladania się nam widok na miasteczko Hasbaya: masę żółtych domów, zalegających zbocze góry, która wznosi się na paręset metrów ponad głębłą doliną, tworząc rodzaj amfiteatru. Dookoła stoki płowe i brunatnawe są pokryte niezliczonymi szarawo-zielonymi centkami drzew oliwnych. Ponad płaskimi dachami domów Hasbaya sterczy budowla czworogranna, ciężka, z szeregiem okien i strzelnic — cytadela emirów Szehab.

„A. tak wziął Jozue wszystkie one ziemie górną, i wszystkie na południe leżącą, i wszystkie ziemie Gosen, i równiny, i pola, i górę Izrael z równiną jej; i góry Halak, która idzie ku Seir, aż do Baalagad, w równinie Libańskiej pod górą Hermon; i wszystkie królestwa jej, i poraził je, i pozabił je...”

Być może, iż owym Baalagad była Hasbaya.

W XII wieku znajdował się tu zamek krzyżowców, jeden z tych, które kamiennym łańcuchem strzegły królestwa Jerozolimskiego.

Aby jednak lepiej się zorientować w późniejszych dziejach tego miejsca, trzeba się cofnąć w głąb wieków historii — aż do wielkiego pochodu muzułmańskich zdobywców w drugim dziesięcioleciu Hedżry. W roku 13 ery muzułmańskiej wojska arabskie pod wodzą Abu Obeidy obległy Damazsek, zmuszając jego mieszkańców do kapitulacji. Wśród wodzów, podległych Abu Obeidzie, znajdował się niejaki Haritha Ibn Haszim z klanu Beni Mazlum, należącego do plemienia Koraysz z Mekki. W walkach pod murami Damaszku postradał on wprawdzie życie, jednakże syn jego, Malek, tak dalece się odznaczył, że otrzymał od kalifa Omara tytuł emira oraz rozległe włości w Hauranie wraz z miejscowością Szahba jako siedzibą rodową. Rodzina nowych emirów, by dodać sobie świetności przybrała miano Szehab od imienia ojca małżonki Harithy Ibn Haszim, syna niejakiego Abdullaha Al-Koraysz, krewnego matki Proroka. Emirowie

wrota. Munkid nie ufał jednak zapewnieniom Nureddina i wolał nie zmieniać decyzji. Dotarł on wraz z całym swoim ludem w okolicę rzeki Hasbani, gdzie znalazł się w obliczu nowego wroga: hrabia Ora, pan na tutejszym zamku wraz z częścią załogi oraz oddziałem pomocniczym, przybyłym z Chateau de Beaufort, zastąpił drogę emirowi. Pierwsze starcie było jednak pomyślne dla Arabów, którzy zmusili piechotę Franków do cofnięcia się za rzekę. Wtedy po stronie krzyżowców ukazał się herold, wzywając do rozstrzygnięcia sprawy przez pojedynek między wybranymi wojownikami, a zaraz potem zakuty w żelazo rycerz przejechał konno przez most. Syn Emira Munkida, Nadżm, przyjął wyzwanie, poczem wybrano miejsce pojedynku i przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. Na znak dany rzucili się na siebie w galopie. Konie szły młynem, gdy błysnął wojenny topór Franka i lanca Araba przełamała się z traskiem. Wiedząc, że nie zdoła szabłą przerwać pancerną, Nadżm nie próbował jej nawet dobywać z pochwy, ale zeskoczywszy z konia, przypadł do przeciwnika i, pochwywszy go za nogę, wyrzucił z siodła. Walczyli potem, tarzając się po ziemi, i już twardości Frank przysięgnął Araba całym ciałem, gdy ten, wyciągnawszy z pochwy, wiszącej u pasa wroga, jego własną mierzynę, wbił ją między blachy pancerną. Na ten widok Arabowie tłumnie rzucili się na most, który przebyli w mgnieniu oka, aby jednak po przeciwległej stronie spotkać się z ulewą strzał, sygnących się na nich z poza drzew oliwnych na stokach. Nie zmieszło to emira Munkida, który uszykował swoją konnicę w zwartą kolumnę na drodze, mimo iż wojownicy jego padali co chwila, poczem ruszył całym pędem w kierunku Hasbaya. Piechota Franków, bojąc się odcieczu, porzuciła czym prędzej swe stanowiska, spiesząc także co sił ku miastu.

Hasbaya zdołała zawrzeć swe bramy przed emirem Munkidem, który rozpoczął regularne oblężenie, budując dookoła z kamieni i kłód drzewa okopy i szanice. Którejś nocy udało się Arabom podejść pod bramę miasta

Przegląd polityczny

Trudno pisać spokojnie o walce przeciwko Niemcom, podjętej przez Polską Armię Krajową w Warszawie. Co waży ta krew w kategoriach strategicznych i politycznych? Trudno, tragicznie trudno odpowiedzieć na to pytanie. Równocześnie z komunikatami o przebiegu walk warszawskich radiostacje ogłaszają apele gen. Bora, szturmuje Sprzymierzonych o broń i sprzęt wojenny. Walki w Warszawie toczą się w jakże znanych nam warunkach, w których brak wyposażenia technicznego przychodzi okupować ofiarnością i poświęceniem żołnierza.

Ale bije też z nich mocne źródło optymizmu. Okupacja niemiecka w Polsce dobiega już pięciu lat. W ciągu tego pięciolecia Niemcy rozpętali w Polsce terror tak niesamowity, że gdyby nam kto chciał opisać go przed wojną, opis taki poczytalibyśmy za wytwór chorej wyobraźni. Nie uwierzylibyśmy, że koszmarny taki może stać się rzeczywistością życia współczesnej Europy XX w. Było to nie tylko puszczenie luzem bestii ludzkiej. Tkwił w tym terrorze konsekwentny plan polityczny: plan wyniszczenia wszystkich sił twórczych w narodzie politycznych i kulturalnych, tak aby można było ugnieść go na miazgę, okupantowi posłuszną. Przez pięć lat plan ten był przeprowadzany z niesłychaną bezwzględnością. I oto po pięciu latach naród odpowiedział nań czynem zbrojnym. Trudno o wymowniejsze świadectwo żywotności narodu i jego woli politycznego istnienia.

Ten czyn zbrojny z jednego jeszcze względu zasługuje na podkreślenie. Nie jest on czynem niezorganizowanym. Jest to świadomy i zorganizowany akt polityczny — wojskowy Narodu. Został on podjęty przez Polską Armię Krajową, będącą zbrojnym ramieniem Polskiego Państwa Podziemnego, którego legalną reprezentacją polityczną jest Rząd Polski w Londynie.

Dwa wydarzenia wybiły się na czoło sceny politycznej ostatnich dni. Jedno z nich, to zerwanie przez Turcję stosunków dyplomatycznych z Niemcami. Jeszcze rok temu reakcja Niemiec mogłaby być tylko jedna: tej samej nocy dowiedzielibyśmy się o bombardowaniu przez Luftwaffe Stambułu i o przekroczeniu przez niemieckie dywizje pancerne granicy bułgarsko-tureckiej. Ale dziś Niemcy na taką reakcję pozwolili sobie nie mogą. Przy swoim katastrofalnym braku rezerw muszą, czynić wszystko, co jest w ich mocy, aby uniknąć nowych działań wojennych, choćby nawet byli przekonani, że w ten sposób zapobiegają tylko wzięciu inicjatywy w ręce przez stronę przeciwną. Zamiast tego radio sofijskie przyniosło zaraz potem deklarację przyjaźni turecko-bułgarskiej, a dyplomaci bułgarscy rozpoczęli rozmowy z Rosjanami. Równocześnie Turcja wydała szereg zarządzeń, dowodzących, że liczą się oni poważnie z tym, że Turcja może stać się szybko teatrem działań wojennych.

Zerwanie przez Turcję stosunków z Niemcami oznacza też, że został osiągnięty już jakiś kompromis w sprawie Cieśniny i że Turcy musieli też dostać jakieś gwarancje od mocarstw anglosaskich. Jakże to gwarancje — o tym dowiemy się prawdopodobnie dopiero po wojnie.

Drugie wielkiej miary wydarzenie ostatnich dni, to zwycięstwo alianckie we Francji. Od jednego zamachu zmienia ono radykalnie sytuację na całym tym froncie. Przede wszystkim front ten zaczyna się wydłużać. Dla aliantów oznacza to możliwość rzucenia do walki części olbrzymich rezerw, skoncentrowanych w Wielkiej Brytanii. Dla Niemców oznacza to zaostreżenie i tak już katastrofalnego problemu rezerw i wydajności linii komunikacyjnych. Po drugie, oznacza to dla Sprzymierzonych, którzy dusili się na przyczółku normandzkiej, zdobycie względnie obszernego zaplecza, wyposażonego w całą sieć portów i umożliwiającego manewrowanie, którego przedtem byli pozbawieni. Oznacza to także wyrzucenie Niemców z ich trzech głównych baz łodzi podwodnych: w Breście, Loriet i St. Nazaire. Walki we Francji weszły teraz w nową fazę.

Mowa premiera Churchill'a wygłoszona została przed wdarciami się czołgów amerykańskich do Bretanii. Ale w jej ostrożnych słowach brzmiała już mocna nuta optymizmu.

W sprawach polskich premier brytyjski nie zmienił swego stanowiska, które znamy z poprzednich jego przemówień i które w wielkiej mierze zaważyło na decyzji podróży do Moskwy premiera Mikołajczyka. W chwili, gdy słowa te się pisze (8 sierpnia), rokowania moskiewskie nie dobiegły jeszcze końca i nie czas o nich jeszcze mówić.

ww.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” zaczęły wychodzić polskie przekłady głośnej angielskiej serii broszur politycznych

„OXFORD PAMPHLETS ON WORLD AFFAIRS”

Jako dwa pierwsze numery ukażą się

Nr. 1

D. W. BROGAN

Prof. Uniwersytetu w Cambridge

AMERYKAŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA

Nr. 2

IVOR THOMAS

Członek Izby Gmin

KIM JEST MUSSOLINI?

Dalsze zeszyty w druku

Cena każdej broszury 50 milsów

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” ukazała się książka o Hitlerze

WICKHAM STEED'A

ZŁY CZŁOWIEK

OPOWIADANIE DLA MŁODZIEŻY W KAŻDYM WIEKU

przekład MARII KAGANOWEJ

Cena 250 milsów.

Numer niniejszy został zredagowany przy współudziale p. Bohdana Łączkowskiego.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.